

OPOWIEŚĆ O SZUKANIU SWOJEGO MIEJSCA W ŻYCIU.

ODNALEZIONY PO LATACH



AGNIESZKA
SZYGENDA

ODNALEZIONY PO LATACH

AGNIESZKA
SZYGENDA



EDIPRESSE
KSIĄZKI

Jeśli przechodzisz przez piekło, idź dalej.

Winston Churchill

W ciągu jednego miesiąca zwolniono mnie z pracy, syn postanowił wynieść się do matki, a lekarz, zaniepokojony wynikami moich badań, zasugerował wizytę u onkologa. Mówienie, że faceci rozczulają się nad sobą bardziej niż kobiety, zawsze mnie irytowało, dlatego zdecydowałem nie iść tą drogą. Cóż, Pan Bóg może kopać mnie w tyłek, raz, drugi, trzeci, proszę bardzo, jednak ponieważ nie miałem jak mu oddać, postanowiłem trzymać nerwy na wodzy. Nic tak nie wkurwia jak stoicki spokój. W sumie, gdyby dobrze to przeanalizować, swoje już przeżyłem. Jeśli doszedłem do momentu, kiedy wszystko wali mi się na łeb w ciągu trzydziestu dni jednego miesiąca, myślę, że ten kopniak nie jest przypadkowy. Czekałem na to całe czterdzieści sześć lat. Wyobraźmy sobie, że do tej pory ja – niewidoczny w tłumie, tracę jakąś część swojego smutnego życia. Jeśli dotąd byłem dla Niego niewidzialnym stworzeniem, które gdzieś tam funkcjonowało na niewielkiej przestrzeni świata B, a nawet Ż, to strata pracy mogła być wynikiem zwykłej chwilowej nieuwagi. Fakt, że nagle miałem zostać sam, bo syn postanowił przeprowadzić się na drugi koniec Polski do matki, z którą praktycznie nie widział się od dwóch lat, mogłem odczytywać jako zwyczajny niefart. Ale trzeci kopniak w postaci złych wyników badań nie mógł być przypadkowy. Dodając to wszystko do kupy, sytuacja stała się prawie jasna. Albo Ten z Góry postanowił mnie wyeliminować, albo wręcz przeciwnie – wreszcie sobie o mnie przypomniał i nie spodobało Mu się to, co z takim mozołem budowałem przez lata. Dawno temu, na pogrzebie babci, uświadomiłem sobie, że nastąpiła prawdziwa zmiana pokoleniowa i teraz oto ja jestem drugi, po rodzicach, w kolejce do grobu. Zdecydowanie wolałbym być drugi w kolejce do tronu, ale to co najlepsze, przeważnie omijało mnie szerokim łukiem. Teraz sytuacja się zagmatwała.

Im dłużej o tym wszystkim myślałem, tym większy mętlik miałem w głowie. Gdybym był kobietą, sprawa byłaby prostsza – mógłbym się zwinąć w kłębek na kanapie i zwyczajnie sobie popłakać. Ale jako mężczyźnie pozostawało mi właściwie jedno – zalać się w trupa. Problem

polegał na tym, że wszyscy znajomi nadal pracowali i picie z nimi miałyby nierówny wymiar. Oni by mi współczuli, w duchu odczuwając ulgę, że sami zachowali posady. Tak naprawdę przez cały wieczór myśleliby o tym, żeby jak najszybciej wrócić do swoich żon/dziewczyn/kochanek/kochanków, w bezpieczne ramiona codzienności, które właśnie u mnie rozpadły się na kawałki. Upicie się w pojedynkę w domu również nie wchodziło w grę. Ciągłe jeszcze nie mieszkałem sam, zostały dwa miesiące do zakończenia roku szkolnego, i trzeba było trzymać fason. Nie mogło mi zresztą przejść przez gardło, że zostałem zwolniony z pracy. Z tej pracy, w której harowałem jak wół, poświęcając wszystkie wolne dni i urlopy. Jak powiedzieć komuś, dla kogo mimo wszystko starasz się być autorytetem, że nagle cię wywalili? Że jesteś niepotrzebny? Nieprzydatny? Zbędny? Od miesiąca udawałem więc, że odbieram zaległy niewykorzystany urlop. Na przekór wszystkiemu tryskałem dobrym humorem, uważając, żeby ten dobry humor nie był zbyt dobry i nie wydał się synowi podejrzany. Gnojek miał już prawie siedemnaście lat i nie tak łatwo było go oszukać. Na szczęście w tym wieku jego radar zainteresowania skierowany był przede wszystkim na dziewczyny i kumpli. Ja, jako stary ramol, bez pojęcia o życiu, byłem wyłącznie bankomatem, kasą zapomogową-pożyczkową i stróżem. Stróżowałem więc dzień i noc, czasami pociągając z kubka jakiegoś mocno zakamuflowanego drinka, żeby smarkacz nie połapał się, że piję sam, bo to podważyłoby wszystkie złote sentencje, które dotąd wygłaszałem na temat szkodliwości alkoholu.

Łańcuch zdarzeń nie mógł być przypadkowy. Czyli wniosek jest ten sam, co wcześniej: albo dostałem kopa w dupę przez przypadek, albo celowo. Nie potrafiłem zająć jednoznacznego stanowiska. Gdyby nie wywalili mnie z pracy, nigdy bym nie wpadł na to, że syn popija, popala i zadaje się z nieodpowiednim towarzystwem. Może miałem takie podejrzania już wcześniej, ale byłem zbyt zaangażowany w obowiązki zawodowe, żeby jednoznacznie ogarnąć trudny temat uzależnień nastolatków. „Zaległy urlop

wypoczynkowy” spowodował, że w pierwszym odruchu zacząłem porządkować życie. Od słowa do słowa, od kłótni do kłótni, młody podjął decyzję o przeprowadzce. Nie ucieszyło mnie to, ale uszanowałem jego wybór. Najważniejsze, żeby zmienił środowisko. Drugi koniec Polski to gwarantował. Korzystając z wolnego czasu, postanowiłem zrobić badania. Siedziałem w przychodni godzinami i czułem się trochę niezręcznie w towarzystwie emerytów, którzy w poczekalni, dla zabicia czasu, licytowali się, kto jest bardziej chory. Wyniki badań nie były optymistyczne. Lekarz z niezadowoleniem kręcił głową. Jestem przekonany, że w głębi duszy cieszył się, że niedługo stracę ubezpieczenie i przestanę być jego pacjentem. Świat jest pełen fałszywych proroków, fałszywych policjantów i niezbyt dobrych lekarzy. Nie ma się co dziwić. Poszedłem do lekarza zapasowego, na prywatną wizytę, i ponowiłem badania. Finał wszyscy znamy. Lada dzień zadzwonię do rejestracji przychodni, żeby zapisać się do lekarza. Znałem go kilka lat i niestety miałem doń zaufanie. Zanim ostatecznie potwierdzi to, co insynuował przez telefon, postanowiłem jeszcze trochę poudawać, że cieszę się życiem.

Wbrew pozorom udawanie, szczególnie przed sobą, nie jest łatwe. Nagle zaczęła mnie swędzić lewa stopa, w prawym ramieniu odczuwałem samowolne drgania mięśni, a na ciele dostawałem dziwnej wysypki. Z niejaką ulgą pomyślałem, że może lekarzowi pomylił się onkolog z dermatologiem albo alergologiem. Entuzjastycznie wpisałem w Google’a nękające mnie objawy, ale wszystkie, nawet najbardziej błahe, prowadziły w końcu do tego cholernego raka. Tak, tak, swędzenie podeszwy stopy to może być rak. Nie żartuję. Z tego wszystkiego zaczęła mnie już swędzić głowa. To powoli stawało się ponad moje siły. Musiałem pomyśleć o ratunku.

Otworzyłem listę kontaktów w telefonie pod literą „s”, gdzie miałem zapisane numery do miłych dziewcząt, które w przeszłości uprawiały ze mną seks. Lista nie była szczególnie długa i z pewnością mocno zakurzona.

Miałem już tyle lat, że umiałem się powstrzymać, a i inne, też ważne czynniki sprawiały, że trochę wypadłem z obiegu: przede wszystkim praca, którą właśnie straciłem. Syn, przy którym niezręcznie by było sprowadzać kobiety na wspólne igraszki, a nie oszukujmy się, żenić się po raz drugi nie miałem zamiaru. To była ważna przyczyna stanu abstynencji, w którym się aktualnie znajdowałem. Nie wiedzieć dlaczego, ale wypowiedzenie tej antymałżeńskiej deklaracji natychmiast osłabiało zainteresowanie kobiet w stosunku do mojej skromnej osoby. Mogłem jedynie pozazdrościć synowi, do którego koleżanki wpadały po lekcjach, i teraz, kiedy byłem na zaległym urlopie wypoczynkowym, zrozumiałem, dlaczego szafka pod zlewem w łazience jest urwana. Z początku syn był zakłopotany moją stałą obecnością w domu. Nie dziwię mu się, ja również nie umiałem się odnaleźć w tej niecodziennej sytuacji. Dorastające dziecko natchnęło mnie do powzięcia ważnego postanowienia. Trzeba rzucić papierosy. Przede wszystkim muszę pamiętać o utracie stałej pensji wpływającej na konto. Trochę żal przepalić te niewielkie, zachomikowane na czarną godzinę, grosze. Najpierw próbowałem ograniczyć. Jeden papieros na trzy, cztery godziny. Ale to nie przyniosło spodziewanego efektu oszczędności. Choćbym nie wiem gdzie ukrył paczkę fajek, Dziecko zawsze ją znalazło i potrafiło ogołocić z kilku zaoszczędzonych sztuk. Tak więc, w wielkiej miłości ojcowskiej a raczej wkurwieniu, rozważałem rzucanie nałogu na złość Dziecku. Żeby nie miało skąd podbierać. Oczyma wyobraźni widziałem siebie zadowolonego na kanapie przed kolejnym programem na Discovery, gdy tymczasem krew z mojej krwi nerwowo przetrząsa wszystkie już znane i jeszcze nieodkryte w domu miejsca. Bez skutku. Tak, to musiała być prawdziwa ojcowska miłość. Jeśli miałem jednak rzucić, musiałem to zrobić szybko. Do końca „zaległego urlopu wypoczynkowego”, czyli do dnia zakończenia roku szkolnego i przeprowadzki Dziecka, pozostały dwa miesiące. Potem on wyjedzie i będę mógł się stać wreszcie bezrobotny. Będę mógł nie wstawać przez cały dzień z łóżka i czekać na śmierć. To będzie

lepsze niż chodzenie z tym głupkowatym uśmieszkiem na ustach i udawanie, że odpoczywam. Tymczasem wielkimi krokami zbliżał się weekend majowy. Po weekendzie w szkołach rozpoczynały się matury. Dziecko miało cały tydzień wolnego. Mogliśmy albo zbzikować w sześćdziesięciometrowym mieszkaniu, albo gdzieś pojechać. Męska wyprawa, wspólne gazowanie do późna, opowiadanie sobie o panienkach. Nie. Nie w tej konfiguracji. Przecież musiałem być wzorem cnót, a do tego naprawdę nie miałem o czym opowiadać. Z pomocą przyszła mi zielona szkoła, o której przez te wszystkie kopniaki zupełnie zapomniałem. Pierwszego maja syn spakował manatki, poprosił o kasę na drobne wydatki i wybył z domu. Miałem tydzień dla siebie. W pierwszym odruchu radości zaplanowałem boskie życie bezrobotnego z pełnymi tego konsekwencjami, czyli z upijaniem się na umór przed lustrem, zapuszczaniem menelskiego zarostu, całodziennym zdychaniem w wyrku i użalaniem się nad sobą. Ale potem sobie przypomniałem, jak rok temu, podczas zielonej szkoły, zostałem wezwany w trybie natychmiastowym po odbiór Dziecka, które honorowo pobiło się z kolegami podczas wyjazdu. I choć nikt nigdy nie doszedł, o co wtedy chodziło, wszystkie strony bójki, czyli wszyscy chłopcy, zostali odesłani do domu. Odpowiedzialność zbiorowa. Nauczony doświadczeniem z przeszłości, nie powinienem więc ryzykować zanurzania się w słodkim cierpieniu z powodu utraty pracy, syna i zdrowia akurat na ten tydzień, bo cierpienie spowodowane zatargiem z wychowawczynią syna mogło być jeszcze gorsze. Syn wybierał się z klasą do Augustowa. Nigdy tam nie byłem i miałem nadzieję, że mimo wszystko nigdy tam nie będę. Niemniej, pewny, że nie jestem w stanie uchronić się przed złą karmą, postanowiłem z otwartą przyłbicą, godnie, wyjść naprzeciw własnemu przeznaczeniu. Przekonany, że i tak nie wytrzymają z nim całego tygodnia w Augustowie, zaraz po jego wyjeździe znalazłem w Internecie ogłoszenie o pokoju do wynajęcia w pięknym, spokojnym domku nieopodal Augustowa, w Rajgrodzie. Zarezerwowałem więc ten pokój, spakowałem się i wyruszyłem ku

przeznaczeniu.

Już po godzinie pożałowałem swojej nieprzemyślanej decyzji. Zaraz po wyjeździe z Warszawy utknąłem w gigantycznym korku, a w głowie narodziła się myśl, że oto wszyscy rodzice kolegów mojego syna wpadli na ten sam pomysł. Jednak postanowiłem nie rezygnować. Podczas stania, stania i stania współczułem tym wszystkim ludziom zapakowanym do samochodów, którzy spieszą do swoich docelowych miejsc. Im szybciej dojadą, tym szybciej wypoczną i wrócą. Współczułem im, a może zazdrościłem, bo przecież oni mieli cel i mieli do czego wracać i na co czekać. Moja sytuacja była jednocześnie i trudniejsza, i łatwiejsza, jeśli ktoś jest w stanie zrozumieć, co mam na myśli. W każdym razie pewnie nikt nie chciałby być na moim miejscu, dziś, teraz, w tej właśnie chwili, kiedy stałem w tym korku i myślałem, że całe to życie jest kompletnie bez sensu.

Dojechałem na miejsce po sześciu godzinach. Dwieście trzydzieści kilometrów w sześć godzin, ale czymże jest te sześć godzin w skali wieczności? Domek, w którym zamówiłem pokój, wyglądał z zewnątrz przyzwoicie. Za drewnianą bramą stało sześć innych samochodów. To dobrze i źle. Ale nie chce mi się teraz rozstrzygać dlaczego. Dom od polnej drogi, przy której był usytuowany, wyglądał zupełnie zwyczajnie, jednak od strony ogrodowej wyróżniał się na tle innych ogromnym zadaszonym tarasem, u podnóża którego znajdował się niewielki, ale foremny basen. Niżej, jakieś sto metrów dalej, znajdowało się jezioro. Kiedy dojechałem na miejsce około godziny trzynastej, uderzył mnie niesamowity spokój, jaki wyczuwało się w tym miejscu. W domu było cicho jak makiem zasiał, na tarasie, wokół basenu i na pomoście żywej duszy. Zaczerpnąłem powietrza. Głęboko, aż do bólu. To było idealne miejsce, żeby się wyciszyć i spokojnie poczekać na telefon od wychowawczynie Dziecka, która niechybnie lada dzień zadzwoni z wyrzutem, żeby zabrać gnojka natychmiast do domu.

Pokoik, który wynająłem, mieścił się na samym poddaszu, miał jakieś

dziesięć metrów kwadratowych i przylegała do niego malutka łazienka. Z niewielkiego balkoniku rozpościerał się widok na basen i jezioro. Sąsiednie domy stały stosunkowo blisko, ale szczelnie odgródzone wyrosniętymi tujami, skrywały domowników przed wzrokiem wścibskich sąsiadów. Kobieta, która wpuściła mnie do środka, mieszkała dwa domy dalej. Kiedy dotarłem na miejsce, zadzwoniłem do niej, i po pięciu minutach byłem w pokoju. Na posiłki mogłem przychodzić do niej, oczywiście za dodatkową opłatą. To mi odpowiadało. Nie ta dodatkowa opłata, ale to, że nie musiałem codziennie jeździć do centrum Rajgrodu po jedzenie. Po raz milionowy sprawdziłem, czy mam zasięg w komórce. Chodzi o to, że od miesiąca, prócz mojego lekarza, nikt do mnie nie dzwonił. W sumie nie dziwiłem się, że wszyscy przybrali barwy kamuflujące i ukrywali się po tak zwanych krzakach. Nic dla mnie nie mogli zrobić, nie potrafili mnie pocieszyć, nie mogli mnie zatrudnić. Może nawet lepiej, że zniknęli, to było bardziej prawdziwe niż udawane poklepywanie po plecach. Jeszcze miesiąc temu miałem wielu dobrych przyjaciół, tak wielu, jak tylko może mieć dyrektor departamentu ważnego ministerstwa. Ale teraz byłem nikim, który w dodatku musiał udawać, że jest kimś, tyle że na urlopie. No to zaczynamy. Przebrałem się w krótkie szorty, świeżą koszulkę i z butelką piwa cicho zsunąłem się po schodach, minąłem zadaszony taras, opustoszały basen i podążyłem na pomost. Ptaszki śpiewały i takie tam, słońce świeciło, bla, bla, bla. Zrobiłem sobie kilka selfie z przyrodą w tle, przyda się dla matki, jeśli będzie za bardzo podejrzliwa. Miałem szczęście. W ciągu kolejnych piętnastu minut niebo zaszło chmurami i zaczęło lać.

Dość powiedzieć, że padało dokładnie przez pięć dni mojego pobytu w cholernym Rajgrodzie. Jak na złość wychowawczyni syna nie zadzwoniła, akurat wtedy byłbym się ucieszył z jej telefonu chyba bardziej niż z propozycji zostania prezesem. Kiedy znużony podróżą wypilem na tarasie piwko, potem drugie i trzecie, i ogarnęła mnie niespodziewana senność, na taras zaczęły wychodzić zjawy. To byli moi sublokatorzy. Na pierwszy rzut

oka nie umiałem określić ich wieku ani znaleźć wspólnego mianownika: co sprawiło, że znaleźli się w tym samym czasie w tym samym właśnie miejscu? Nikogo z nich nie rozpoznawałem, a więc to nie byli rodzice ze szkoły mojego syna. Część z nich wydała mi się znajoma – nie wiadomo skąd. Czułem pewną niezręczność, nie umiając przypasować osoby do odpowiednich etapów swojego życia. Niemniej pewną ulgę przyniósł mi fakt, że i oni mnie nie rozpoznawali. Wyglądali jak zombi, z podkrążonymi oczyma, z zapadłymi policzkami, wyraźnie cierpiący i rozdygotani. Znałem ten stan. Podczas gdy oni szukali sposobu na szybką regenerację, ja czułem zbawienny wpływ piwa. Wystarczy powiedzieć, że zaczynały mi się podobać wszystkie piosenki, które leciały w radiu. To był miły stan, którym delektowałem się po raz pierwszy od dawna. Nie wiem, w którym momencie zjawy przysiadły się do mnie na tarasie, poowijane w koce i kołdry, i z ponurymi minami piły to, co znalazły w kuchni. Wino, wódkę, nalewki, do wyboru, do koloru. Z każdym łykiem ich twarze ożywały, policzki nabierały rumieńców, kąciki ust podnosiły się w coraz śmielszych uśmiechach, coraz głośniej mówili. Byli uleczeni. Po godzinie mnie dogonili. Ktoś podkręcił radio, koce z pleców poopadały na kanapę, jakiś ambitny zaczął rozpalać grilla. Towarzystwo było mieszane. Kilkoro w wieku trzydziestu–pięćdziesięciu lat. Jeśli były tam pary, nie umiałem ich do siebie dopasować, przynajmniej nie po dziesiątym piwie. Zapomniałem, że czekałem na telefon, zapomniałem, że nie mam pracy i że prawdopodobnie mam raka. Na kilka dni stałem się częścią jakiejś bliżej niezidentyfikowanej grupy. Nic o nich nie wiedziałem, tak jak oni nie wiedzieli nic o mnie. Tak było dobrze i bezpiecznie. Trzon grupy stanowiło kilka osób, które, podobnie jak ja, miały pokoje wynajęte na cały tydzień. Reszta tej piętnastoosobowej ekipy z dnia na dzień się zmieniała. Jedni wyjeżdżali, inni przyjeżdżali. Po raz pierwszy w życiu żyłem w abstrakcyjnej komunie. Czasem ktoś uprawiał seks, ale wcale nie było oczywiste, kto z kim. Jednego dnia byliśmy na wojnie i skrywaliśmy się w domu przed złowrogimi łodziami podwodnymi

z jeziora, innego dzieliliśmy się na gejów i lesbijki. Nie muszę chyba mówić, że ja, z racji swoich preferencji, zostałem lesbijką. Kiedy indziej podsłuchawszy, że zgadało się ze sobą dwóch pijanych weterynarzy, zgodnie wpasowaliśmy się w rolę uczestników światowego zjazdu weterynarzy. Codziennie byłem kimś innym i mój świat diametralnie się zmieniał. Mogłem się martwić, że zwariowałem, ale jeśli tak, to właśnie w tamtym momencie było mi to potrzebne. Otulony w koc, z zapadniętymi policzkami i przekrwionymi oczami patrzyłem na pomost tonący w strugach deszczu. Przez ten jeden tydzień przeżyłem więcej niż przez całe życie, chociaż niewiele z tego pamiętam.

Kiedy jakimś cudem wróciłem do domu, czułem się, jakbym się narodził na nowo. Szkoda, że zaraz umrę. Mimowolne drgania mięśni w całym ciele mocno się nasiliły, ale teraz znałem przyczynę: z mojego organizmu zostały wypłukane przez alkohol wszystkie witaminy. Schudłem jakieś dwa kilo. Nigdy nie dotarłem na posiłek do pani, która pierwszego dnia dała mi klucze. Było tam zdecydowanie za daleko. Syn miał wrócić nazajutrz, więc ostatni dzień wolności postanowiłem spędzić w niekonwencjonalny dla całego tygodnia sposób: przed telewizorem. Najpierw jednak musiałem przestać śmierdzieć. Zdjąłem brudne ciuchy, nastawiłem pralkę i wskoczyłem pod prysznic. Umyłem się, przebrałem i zjechałem windą do osiedlowego sklepu. Kupiłem kilka bułek, żółty ser, jaja i piwo. Planowałem nazajutrz śniadanie królów. Zażyłem końskie dawki witamin, popijając je piwkiem, które znalazłem przed wyjazdem ukryte w pokoju syna. Czekają na jego powrót na stole w kuchni, i miało być dowodem rzeczowym łamania ustalonych zasad. Przyczynkiem kazania, którego już dawno nie pamiętałem. I dobrze, bo główny dowód rzeczowy właśnie był filtrowany przez moje nerki. Nie czułem się winny. Rok temu kupiłem szefowi na urodziny butelkę wina z 1958 roku. Nie jego wina, że wtedy właśnie się urodził, ale wino było cholernie drogie. Stało sobie w kącie, czekając na dzień imprezy, a kiedy ten nadszedł, ze zgrozą odkryłem, że wina nie ma. Nie muszę chyba

dodawać, że Dziecko wypilo wino z kolegami, w przekonaniu, że to jakieś siki z dyskontu. Nie czułem się również winny z powodu braku kazania. Jeśli niedługo umrę, przynajmniej będzie mnie pamiętał jako starego, który nie rzeźił z powodu alko znalezionego pod ciuchami. Tak więc, biorąc pod uwagę całą moją sytuację, można powiedzieć, że wszystko układało się prawie świetnie. Gdyby nie strata pracy, zdrowia i syna, wszystko byłoby po prostu idealnie. Jednak nie mogłem o tym zacząć myśleć, bo musiałem powoli ćwiczyć moją rolę wypoczywającego na zaległym urlopie rodzica. À propos bycia rodzicem. Niechętnie podniosłem się z kanapy i po raz kolejny zjechałem do spożywczego, nie zapominając wyrzucić na zewnątrz śmieci. W sklepie dokupiłem chleb, masło, kiełbasę krakowską, keczup i parówki. Na jutro wystarczy. Dopiero wtedy, zadowolony z siebie, włączyłem Discovery Channel i pograżyłem się w swojej roli. Miałem to opracowane do perfekcji i uwierzcie mi, powinien dostać za to Oscara.

Nie powiedziałem jeszcze, jak mam na imię, wszystko przez to całe zamieszanie w moim życiu, choć po tygodniu spędzonym w Rajgrodzie wiem, że samo imię czy nazwisko nie ma żadnego znaczenia. Może nawet bezpieczniej w niektórych sytuacjach go nie ujawniać. W Rajgrodzie byłem Deklem, ale tam byli sami Debile, Gałgany, Jełopy, Idiotki, Geje i Lesbijki, Pijacy i Pijaczki, Łysi, Rude, Degeneraci i zwolennicy prawicowej partii rządzącej. Nie będę wskazywał palcem. Lubię prawicowe partie rządzące, a ich prezydenta uwielbiam. Lubię ich za ich cnoty kardynalne, siedem cnót głównych z pokorą na czele, a nawet cnoty boskie z naciskiem na miłość. Pan Bóg się mylił, dając ludziom wolność wyboru, oby tylko On nie stracił posady.

Nie wspomniałem też, że jestem wysoki, całkiem przystojny i mam niezłe, jak na swój wiek, włosy. To zasługa genów. Podczas gdy większość moich współpracowników ma na głowie eleganckie zakola, ja mogę się poszczycić pełnym porostem gęstych, lekko posiwiałych włosów. To wszystko, cała ta aparycja jest dla mnie wyjątkowo korzystna. Dzięki niej

nigdy nie miałem problemów, żeby poderwać dziewczynę i prawdopodobnie świetnie będę wyglądał w trumnie. Teraz jednak ani kobiety, ani trumna nie były mi w głowie. Oglądałem jakiś program o Trzeciej Rzeszy, kiedy nagle pojawił się uzasadniony niepokój. Czy powinien przygotować rodzinę na swoje odejście? Młody był akurat w najlepszym wieku, w którym można śmiało powiedzieć, że nie jest ze mną związany. Tak, mieszkamy razem od szesnastu lat, ale od trzech mój autorytet to tylko moje pobożne życzenie. Gość jest na etapie, kiedy wszyscy księża to pedofile, a rząd to złodzieje. Nawet ten najbardziej cnotliwy. Umieszczenie w tym rządzie ojca na pozycji głupka, który się na niczym nie zna i nic nie osiągnął, jest prawie komplementem. Wiem, musi zaprzeczyć wszystkiemu, żeby zbudować własną tożsamość. Czytałem o tym, korzystając z pomocy mojego doradcy, pana Google'a. Moja ekszona, jego matka, będzie jeszcze dobra i mądra przez najbliższe dwa miesiące, dopóki się do niej nie przeprowadzi. Potem i jej autorytet legnie w gruzach. Być może równocześnie mój trochę wtedy odzyska. Przywróciłbym go, gdybym rzeczywiście umarł. Byłbym jak ci wszyscy muzyczni idole, którzy strzelili sobie w łeb, albo się zaćpali i odeszli w pół słowa. Tak, wtedy choć przez chwilę będę ideałem. Prawdę mówiąc, nie spieszy mi się, jestem ciekawy, jak potoczą się losy syna. Poza tym chciałbym jeszcze coś przeżyć, cokolwiek, oprócz znużenia. Wielką miłość miałem już za sobą i było odwrotnie niż w bajkach. Księżniczka przeobraziła się w ropuchę, ekszonę.

Całe życie byłem raczej zadaniowy, jak zresztą każdy przeciętny gość. Prowadziłem normalne życie, które nagle zostało wywrócone do góry nogami. To nieoczekiwane odkrycie mną wstrząsnęło. Byłem nikomu niepotrzebny, niechciany, w dodatku u schyłku życia zostałem Deklem. Cała moja spuścizna przepadła. Nie miałem ani jednej witaminy w organizmie toczonym przez śmiertelnoścnośnego zabójcę. Jutro wracał syn, dla którego nie byłem żadnym autorytetem. Na Discovery kończył się kolejny odcinek *Tajemnic Trzeciej Rzeszy*. Pewnie nigdy się nie dowiem, jak to się wszystko

skończy. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Jeśli teraz zacznę płakać, zdążę się pozbyć opuchlizny przed powrotem Dziecka. To jedyna okazja. Grzechem byłoby nie skorzystać. Było mi dobrze, kiedy uroniłem kilka łez, a potem jeszcze kilka. Nurzałem się w czeluści beznadziei przez kolejne trzy godziny. Wreszcie znowu sam byłem dzieckiem. O dwudziestej drugiej, z zegarkiem w ręku, poszedłem się wysmarkać i obmyć twarz, a potem rzuciłem się na łóżko i zasnąłem.

Rano wyglądałem jak upiór, ale sprytnie wymyśliłem alergię na pyłki. Był maj, wszystko pasowało. Zanim wrócił syn, coś mnie tknęło i zrobiłem jeszcze jedną rewizję w jego pokoju. Oprócz sterty pustych opakowań po prezerwatywach, poupychanych po wszystkich możliwych kątach, znalazłem kilka opakowań tabaki, jeszcze jedno piwo i szczyptę tytoniu, który równie dobrze mógł być trawką. Nigdy wcześniej nie miałem tego w rękach, więc nie potrafiłem ocenić, z jakiego okresu i ile jest warte moje znalezisko. Niemniej postanowiłem je skonfiskować. Skoro on kradnie mi wina i papierosy i udaje, że ich nie ukradł, to ja mogę zrobić dokładnie tak samo. Zastanawiałem się przez chwilę, gdzie powinienem ukryć łupy, bo z doświadczenia wiedziałem już, że nie ma w domu takiej skrytki, której Dziecko by nie znalazło. Postanowiłem więc oszukać syna i zostawić wszystko w widocznym miejscu. Znalezione zioło włożyłem do nieużywanej puszki na herbatę, a piwo wstawiłem do pustego barku. Tabakę po prostu zostawiłem w szufladzie w kuchni. Coraz bardziej odczuwałem bliżej nieokreśloną presję. Czułem, że zbliża się jak wielka chmura gradowa. Całe życie stosowałem się do wyznaczonych przez innych zasad. Nie ćpałem, nie buntowałem się. Tak, czasami piłem i paliłem, ale nikomu nie robiłem tym krzywdy. Uczyłem się dobrze, zarówno w szkole średniej, jak i na studiach. Potem podjąłem pracę, w której latami dochrapywałem się do coraz wyższego stanowiska, przeszedłszy wszystkie kolejne szczeble kariery. Ożeniłem się i spłodziłem syna. Dałem rozwód żonie, która się zakochała i postanowiła zmienić swoje życie. A potem jakiś dupek po prostu mnie

wywalił, syn postanowił się na mnie wypiąć, gdy potencjalnie najbardziej potrzebowiałem jego wsparcia, a kolejny dupek – lekarz, zasugerował złe wyniki badań i konieczność ich powtórzenia. Podczas majówki, w towarzystwie jakichś nieznanych ludzi przeżyłem więcej niż przez poprzednie lata. Byłem ja – jako ja Dekiel, a nie jako pracownik, mąż, ojciec czy pacjent. Dałem się oszukać. Wszystkim, którzy całe życie mówili mi, jak powinienem żyć i w co powinienem wierzyć. Teraz to wszystko stracone. Spojrzałem na zegarek. Nie, teraz już nie zdążę uronić żadnej łzy. To musi poczekać do wakacji. Zamknąłem oczy, próbując się skoncentrować. Rozciągnąłem usta w uśmiechu, raz i drugi. Dam radę. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, wyprostowałem się i poszedłem otworzyć. Dziecko przypominało zapachem mnie z dnia wczorajszego. Czyżby w Augustowie też non stop padało?

Nie wypadało, żebym wziął go w ramiona, chociaż w tej chwili właśnie tego najbardziej potrzebowiałem. Uścisnął mi dłoń, krótko, zdecydowanie, choć sądząc po jego zaczerwienionych oczach, tym, czego najbardziej w tym momencie pragnął, było walnięcie się na łóżko. Postanowiłem nie ingerować w jego śmierdzące ciuchy, choć ryzykowałem, że zostaną w torbie na kolejny tydzień. Niech najpierw się wyśpi. W odruchu serca pożałowałem, że ogołociłem mu pokój z używek, ale już było za późno, żeby się z tego wycofywać. Trzeba być konsekwentnym. *Wszystko w porządku?*, zapytałem, kiedy przechodził do swojego pokoju. Kiwnął potakująco głową, zamknął za sobą drzwi. Patrzyłem bezradnie na bajzel, który zostawił w przedpokoju, ale postanowiłem być twardym zawodnikiem – nie tknąłem niczego. Miałem ochotę dopytać, czy nie jest głodny, ale machnąłem ręką. Dziecko miało dwa metry wzrostu i z doświadczenia wiedziałem, że jeśli odczuwało głód, żadna siła ani pora, ani okoliczności nie były w stanie zatrzymać go w drodze do kuchni. Postanowiłem nie zagłaskiwać go na śmierć. Wyszedłem na balkon i zapaliłem papierosa. Potem jeszcze jednego. Jebane słońce świeciło mi w twarz. Musiałem podjąć jakieś decyzje. Powinienem zacząć szukać pracy.

Jednak na razie jedyne postanowienie, na jakie było mnie stać, to położyć się spać na kanapie.

Kiedy pracowałem całymi dniami, na wszystko miałem czas. Teraz, odkąd przeszedłem w nieoczekiwany stan spoczynku, z niczym nie potrafiłem się wyrobić. Przede wszystkim musiałem oszczędzać, naprawdę oszczędzać. To było dla mnie coś nowego. Nie to, żebym do tej pory tego nie robił, jednak dotąd oszczędzanie było przywilejem, teraz stało się przykrym obowiązkiem, żeby nie powiedzieć – przekleństwem. Zakupy w sklepie online zajmowały dwie godziny, czyli dłużej niż zwykle. Zamiast znanych produktów wybierałem te, które miały najniższą cenę za sztukę, za litr czy za kilogram. Nie licząc raka, nie opłacało się też chorować. Zamiast łykać garść witamin z magnezem na czele, można było, przy odrobinie dobrej woli, zarzucić kawę i magnez, taka oszczędność dwa w jednym. Można było również rzucić wszystko inne i od razu umrzeć. To byłoby najbardziej ekonomiczne. Słodczyce – nie, słodkie napoje – nie, gotowe dania – nie. Nic nie. Papier toaletowy – tak. Jajka na jajecznicę – tak. Prezerwatywy – tak. Nie, nie dla mnie. Żyłem jak mnich od wielu lat, nie licząc tych kilkunastu nieplanowanych bzykanek na wyjazdach integracyjnych. Kiedyś, w młodości, byłem w burdelu, ale to było jeden jedyny raz. Moja wybranka za sto złotych bardzo się starała mnie przekonać, że jestem jedyny i wyjątkowy. Problem w tym, że nie potrafiłem do tego przekonać samego siebie. Im bardziej ona udawała, tym bardziej nie chciałem jej zawieść. Nie wyobrażacie sobie, co to znaczy udawać przed kimś, kto w udawaniu jest mistrzem. Po godzinie, która dłużyła się niczym kiepski film akcji, z ulgą opuściłem przybytek rozkoszy. Potem się ożeniłem. Była żona nie udawała, i to mnie w niej urzekło. Nawet nie zauważyłem, kiedy byliśmy po ślubie, a w łóżeczku obok kwilił nasz syn. Kiedy się urodził, stałem się robotem, który miał przynosić do domu pieniądze. Kilka miesięcy walczyłem o zachowanie miejsca głowy rodziny w tym domu, ale w końcu się poddałem. Nie miałem szans na piedestał. Pierwsze miejsce zajmował

pierworodny, drugie żona. Trzeciego nie było. Ogarniało mnie coraz większe wkurwienie i znużenie. Kiedy młody miał trzy lata, byłem nawet zadowolony z życia. Od rana praca, potem szybkie zakupy. Dwie godziny w korku były czystym relaksem – czas tylko dla mnie. Kiedy wieczorem dojeżdżałem do domu, zjadałem jakąś kanapeczkę, oglądałem z młodym bajeczkę, potem czytałem mu książeczkę. Następnie udawałem się do łazieneczki. Za zamkniętymi drzwiami, podczas brania prysznica, zaspokajałem własne potrzeby. Miałem w tym taką wprawę, że cała procedura trwała krócej niż sikanie. Oczywiście był pewien problem, kiedy niechcący złamałem kość śródreżca. Tego właśnie śródreżca. Prawego. Można by powiedzieć, że niewinne złamanie stało się przyczyną mojego rozwodu. Bo nagle nie mogłem zrobić sobie śniadania ani kolacji, ani przyjemności pod prysznicem. Zacząłem być niemiły. Zacząłem dyskutować i prowokować. Narastał we mnie bunt. Efekt był taki, że żona znalazła sobie kogoś miłszego. Jeszcze jakiś czas dzieliła życie na dwa domy, ale któregoś dnia po prostu napisała mi piękny referat na temat celu w życiu, spakowała się i wyprowadziła.

Nie rozumiałem, dlaczego zostawiła mi syna. Czy powodowała nią miłość, czy nienawiść? Na początku byłem naprawdę załamany. Wydawało się, że utraciłem wszystko, co udało mi się przez lata zbudować. Wyrzucałem sobie, jak bardzo byłem niewdzięczny i samolubny. Serce ścisnęło mi się na myśl o synu – półsierocie, który przez całe życie będzie odczuwał piętno porzucenia. Sprawa się skomplikowała jeszcze bardziej, kiedy z odsieczą ruszyła mi matka. Nawet się nie zorientowałem, kiedy w mieszkaniu znalazła się jej szczoteczka do zębów, na półce pojawiły się jej ubrania, a w telewizji zaczął królować kanał TV Romans. Oczywiście to miało również swoje dobre strony: mogłem nadal chodzić do pracy, rano miałem przygotowane kanapki na pierwsze i na drugie śniadanie, a wieczorem obiad. Dziecko było ogarnięte i zadowolone, ubrania uprasowane, a w mieszkaniu lśniło. Oprócz tego wszystko było po staremu. Nadal dostawałem listy zakupów, a kiedy wydobrała mi ręka, z radością mogłem zamykać się wieczorami w łazience.

Chciałoby się powiedzieć „chwilo, trwaj”, ale czas uciekał, Dziecko rosło, ja się starzałem, a nadal nie mogłem się poczuć naprawdę sobą. Po trzech miesiącach żona chciała wrócić. Miłość, która ją spotkała, okazała się przelotna, no i bardzo tęskniła za synem. Nie zamierzałem jednak sobie pogarszać w życiu. Wystąpiłem o rozwód i opiekę nad dzieckiem. Zgodziłem się, żeby matka Dziecka mogła je zabierać w każdy weekend i w tygodniu, po wcześniejszym umówieniu się. Sam w to nie wierzyłem, ale sąd przystał na moje propozycje. Prawdopodobnie byłem jedynym ojcem w Polsce, któremu przytrafiła się taka sytuacja. Moja matka się wyprowadziła. Żona się nie wprowadziła. Dziecko było ogarnięte. To wtedy zdarzyło mi się kilka krótkich przelotnych romansów, jednak żaden z nich nie przetrzymał próby trzech randek. Nie wiem, kiedy Dziecko dorosło. W naturalny sposób syn przestał być zapatrzony w matkę. To ja stałem się jego bohaterem. Zacząłem znajdować przyjemność w spędzaniu z nim czasu. To był dobry czas. Wreszcie ktoś widział mnie takim, jakim naprawdę byłem, albo chciałem być: mądrym, odważnym, niezastąpionym. Czułem się potrzebny jak nigdy dotąd. Stałem się mentorem i nauczycielem. Byłem drogowskazem, wyrocznią i autorytetem. Byłem ojcem. W tym czasie żona wyprowadziła się na drugi koniec Polski, ale nadal utrzymywała bliskie relacje z naszym synem. Oczywiście nie mogły być one tak intensywne jak w latach, kiedy mieszkała w tym samym mieście, ale byłbym niesprawiedliwy, gdybym powiedział, że się nie starała. Założyła drugą rodzinę. Jej mąż robił karierę dyplomatyczną, lada dzień miała przyjść na świat ich córka. Współczułem temu gościowi, ale jednocześnie byłem mu wdzięczny. Z całego serca życzyłem mu, żeby jego kariera szybko się rozwijała. Najlepiej, gdyby został ambasadorem w Honolulu albo na Alasce.

Ja natomiast awansowałem regularnie, przy każdej zmianie rządów. A że zmieniały się często, nawet nie zauważyłem, jak ze starszego specjalisty stałem się dyrektorem departamentu. To zapewniało satysfakcję, łechtало ego, jednak gdzieś pod skórą nie dawało spokoju. Coraz wyraźniej zdawałem

sobie sprawę, że jest to droga donikąd. Bo co mi jeszcze zostało? Albo: punkt pierwszy – zostaję radcą ministra i siedzę w jakiejś kanciapie bez okien, albo: punkt drugi – awansuję na merytorycznego wiceministra i przy najbliższym rozdaniu politycznym dostaję kopa w dupę poza orbitę. Jak się okazało, moje obawy były przedwczesne. Nie zostałem ani wiceministrem, ani radcą – po prostu zwolniono mnie na etapie dyrektora. Zanim to jednak nastąpiło, przestałem być autorytetem dla Dziecka. Gdybym był kobietą, powinienem teraz porzucić wszystko, spakować małą walizeczkę i pojechać do Indii szukać samego siebie. Gdybym był kobietą, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że mógłbym tam spotkać miłość swojego życia, najpewniej przystojną i bogatą. Jednak ponieważ jestem facetem, nie mogę nigdzie pojechać, bo gdybym to zrobił, narażony byłbym na te wszystkie poszukujące siebie, którym musiałbym tłumaczyć, że nie jestem ani majątny, ani spełniony. Tak więc nigdzie nie pojedę.

Zamiast do Indii poszedłem do okulisty. Lata spędzone przed komputerem albo w ogóle spędzone gdziekolwiek i palenie odcisnęły piętno na moim wzroku. Do odczytywania dat ważności na jogurtach musiałem używać lupy. Dobrze że miałem długie ręce. Dzięki temu jeszcze potrafiłem odsunąć telefon daleko od oczu, żeby odczytać przychodzące SMS-y. Im gorzej widziałem, tym świat stawał się piękniejszy. Okulistka zapisała mi okulary i oczywiście przyczepiła się do lewego oka. Miałem zrobić badanie szerokości pola widzenia. Wróciłem do domu, przeczytałem w doktorze Google’u o jaskrze, ucieszyłem się. Kiedy zadzwoni matka, będę miał dla niej zadanie: przejmowanie się moim wzrokiem. Mogłem być pewien, że w tej sytuacji nie zapyta już o nic innego. Tym samym bezrobocie i rak są bezpieczni. Kocham ten stan. Co do pozostałych członków rodziny, to od lat nie utrzymywaliśmy kontaktu. Codziennie dziękowałem za to naszej scenie politycznej, która z ogromnym sukcesem potrafiła skłócić najbardziej kochające się rodziny. Więc jeśli rodzina się jakoś szczególnie nie kochała – ta wdzięczność była jeszcze większa.

Z lubością spacerowałem po uliczkach, wciągając w nozdrza zapach wiosny. To mnie rozczulało i przywodziło na myśl wspomnienie dzieciństwa. Mojego dzieciństwa. Tak, trudno w to uwierzyć, ale kiedyś sam byłem dzieckiem. Marzyłem, wyobrażałem sobie, snułem plany. Dokąd mnie to zaprowadziło? Los jest przekorny. W szafce w łazience miałem milion prezerwatyw, z których nie mogłem korzystać z uwagi na obecność w domu młodego. Za to on korzystał chętnie. Zdarzyło mi się w poniedziałek rano spóźnić do pracy, bo objeżdżałem wszystkie apteki w okolicy w poszukiwaniu „tabletki po”. Nie chciałem zostać dziadkiem, co to, to nie. Byłem wtedy w pięciu miejscach. W pierwszych trzech pojedyncze sztuki, które miała na stanie apteka, były zarezerwowane telefonicznie. Czyżby w niedzielę cała Warszawa bzykała się bez zabezpieczania? W pozostałych dwóch kupiłem po jednej sztuce, na zapas. Potem dwa tygodnie nerwów, czy tabletki zadziała. Chyba nie muszę wspominać, że doktor Google nie miał dla mnie uspokajających wieści. Kiedy dziewczyna syna dostała okresu, czułem się tak, jakbym wygrał w totolotka. Wędrując po okolicznych uliczkach, z lubością rozkoszowałem się rozkwitającą przyrodą. Może to moja ostatnia wiosna w życiu? I nagle naszła mnie przemożna potrzeba, żeby już nie myśleć o tym, że jestem synem, ojcem, byłym mężem, byłym pracownikiem. Nie jestem obywatelem, nie jestem ani zdrowy, ani chory. Jestem ja. Ja. Ten sam, wokół którego kręci się świat, który jeszcze oddycha, który jeszcze przez chwilę może złapać życie za rogi. Może to ostatnia szansa. Zatrzymuję się, zdziwiony odkryciem. Zamykam oczy. Jeszcze nie wiem, co będę robił, bo nigdy w życiu nie robiłem tego, co naprawdę chcę. Nie wiem, czego chcę. Nie wiem.

Jeśli nie wiem, czego chcę, muszę skreślić wszystko, czego nie chcę. Nie chcę już się dopasowywać. Udawać, że sprawia mi przyjemność branie udziału w tym całym sztucznie skonstruowanym świecie wartości. Pseudowartości. Nie ugnę się przed reklamami, przed tym całym „powinieneś to mieć, tam być, to zrobić” tylko dlatego, że ktoś chce na mnie

zarobić. Chłam jest wszechobecny – w moim mieszkaniu, w całym moim życiu. Zalewa mi oczy, uszy i mózg. Nie chcę. Nie chcę stracić syna. Naprawdę go kocham i są chwile, kiedy jestem z niego dumny, nawet wtedy, kiedy się na niego wkurzam. Ale akceptuję, że chce odejść. Nie mogę i nie chcę żyć ze świadomością, że jest ze mną z jakiegoś konkretnego powodu, innego niż miłość. To brzmi górnolotnie, przepraszam, ale chuj, taka niestety jest prawda. Nie chcę chodzić do pracy, której nie będę lubił. Nie chcę się bzykać z moją ręką pod prysznicem. I nie chcę jeszcze umierać. Balansowałem jak na linie. Czułem strach i podekscytowanie. Żal i nadzieję. Złość i radość. Czułem się porzucony i odnaleziony. To było trochę tak, jakbym miał schizofrenię. Z dwojga złego już lepsza byłaby ta jaskra, że nie wspomnę o raku. Podsumujmy. Mam oszczędności, dzięki którym dam radę przeżyć jakiś rok. Nie muszę wydawać pieniędzy na bilet do Indii, więc będzie parę groszy na piwo. Myśl, że jestem sam dla siebie najważniejszy, wyróciła świat do góry nogami. Im bardziej przyzwyczajałem się do tej myśli, tym większe czułem zagrożenie i lęk, że otaczający świat nie pozwoli, bym nagle porzucił wszystkie maski, łańcuchy i dyby.

Na początku czerwca syn zaczął przebąkiwać, że trudno mu będzie się rozstać z kolegami i dziewczyną. Wielkie mi co. Nie pociągnąłem tego tematu. Potem przypomniał, że miałem nauczyć go prowadzić auto. Niedoczekanie, żebym oprócz rzucania fajek musiał jeszcze sprzedać samochód, żeby mi go nie zabierał. W końcu użył argumentu, z którym było trudno dyskutować: jednak to w Warszawie są najlepsze warunki dla kształcenia. *Synu, powiedziałem pocieszająco, doceniam, że tak wydorostałeś, żeby martwić się o swoje wykształcenie. Nie sądziłem, że dożyję tej chwili. Zapewniam cię jednak, że na razie chodzisz do liceum i na tym etapie, przy odrobieniu dobrej woli, wszędzie możesz dobrze się przygotować na studia. A wyższe uczelnie na ciebie zaczekają.*

Potem było coś o miłości synowsko-ojcowskiej, co nawet by mnie ruszyło, gdybym nie był bezrobotny i chory. Nie mogłem się zachowywać

egoistycznie. Musiałem pozwolić mu odejść i nie patrzeć na moje cierpienie, które nieuchronnie się zbliżało. Pozostałem więc niezłomny. Być może na to, że się wyprowadził, miał wpływ również „niewykorzystany zaległy urlop”. Gdybym nie siedział w domu od dwóch miesięcy, on nadal mógłby spać do dziewiątej i notorycznie spóźniać się na lekcje albo urywać się z nich, żeby spokojnie się pobzykać z dziewczyną. Odkąd pozostawałem w domu, sprawa była trudniejsza. Czasami bolała go głowa albo brzuch, a czasami noga. Byłem bardzo wyrozumiały przez pierwsze piętnaście razy, a następnie zakazałem mu się mazać. W tej sytuacji, mimo kumulacji wszelkich możliwych cierpień, chodził do szkoły na wszystkie lekcje. Czy to, że nie mogłem się doczekać, kiedy się wyprowadzi, znaczyło, że byłem wyrodnym ojcem? Wyobrażałem sobie piwo w lodówce, wino i whisky w barku, a może nawet na stole. Papierosy na widoku, a nie pochowane po kątach. No i jakąś gorącą laskę, która będzie paradowała nago po mieszkaniu. Nie wierzyłem, żeby Dziecko wytrzymało u matki dłużej niż rok. Nie dlatego, że syn jej nie kochał. Wręcz przeciwnie. Czasami byłem zazdrosny, bo wydawało mi się, że kocha ją bardziej niż mnie. Ze mną się kłócił, za nią tęsknił. Mnie stale coś wypominał, jej próbował się przypodobać. Za darmo. Kiedy próbował być miły dla mnie, natychmiast się spinałem. Zawsze chodziło o kasę, o możliwość niepowrotu do domu na noc albo wezwanie do szkoły. Chciałem, żeby matka też zakosztowała tych wszystkich przyjemności. Żeby stała się mną, a ja nią. Nie zrozumcie mnie źle. Oddałbym za niego życie. Ale chwilowo byłem zagubiony. Jeśli miałem być wsparciem, musiałem sam zaczerpnąć sił. Poustawiać wszystko na nowo. Odnaleźć cel inny od tego, którym żyłem do tej pory: przetrwać kolejny dzień i zapewnić byt dziecku. Byłem jednym z najbardziej kompetentnych w Polsce speców od funduszy europejskich, a jednak czułem się wykorzystany i wypluty. Nie miałem pojęcia, co to znaczy naprawdę żyć. Od lat nic mi się nie śniło, nie pamiętałem też, kiedy ostatnio marzyłem o czymś innym, niż żeby wreszcie się wyspać. Innymi marzeniami nie dysponowałem, nie umiałem ich sobie

nawet wyobrazić.

Nie mówię, że mnie nie ruszyło, kiedy pierworodny odjeżdżał. Nagle zdałem sobie sprawę z grozy sytuacji. Zostawałem sam jak palec. Kiedy będę umierał, nikt nie poda mi szklanki wody. W dodatku syn strzelił mi focha. Jego też przestraszyła ta wielka zmiana i na mnie zrzucił cały ciężar odpowiedzialności za to, że nie dało się jej odwrócić. Cóż, przecież nie wyjeżdżamy do dwóch krajów. Są telefony, Skype. Do tej pory zawsze kiedy do niego dzwoniłem, dziwnym trafem natychmiast musiał kończyć z powodu pięciu procent baterii, które mu akurat zostały. Mam nadzieję, że tam, dokąd jedzie, bateria będzie wytrzymywać dłużej.

Zanim wróciłem do domu, zaszedłem do dyskontu spożywczego. Kupiłem sześciopak piwa, dwa wina i butelkę wódki. Jeszcze nie wiedziałem, czy moje zakupy będą pełniły funkcję dekoracyjną, czy posłużą kuracji oczyszczającej organizm. Zawsze to dobrze trochę pozmieniać w mieszkaniu na nowej drodze życia. Jeszcze lepiej zrobić sobie w domu zdrową dezynfekującą głódówkę. Niezależnie od przeznaczenia zakupów, niezależnie od tego, że sam tego chciałem, było mi strasznie żal. Nie tylko rozłąki z synem. Przede wszystkim tego, że teraz już nie będę musiał udawać. Do tej pory nie mogłem sobie pozwolić na luksus depresji, teraz wszystko się zmieniło. Strasznie się tego obawiałem. Przygniatała mnie również świadomość, że jeśli jednak za kilka lat skończę tę pieprzoną pięćdziesiątkę, to i tak wszystko muszę zaczynać od nowa. Byłem w wieku, w którym powoli powinno się odcinać kupony od pracy i trudów poniesionych w przeszłości, powinienem teraz przekraczać równik i z satysfakcją wracać do domu albo coś w tym stylu. Tymczasem miałem alternatywę: albo znowu dać się wciągnąć w beznadziejną jałową machinę trwania i dziękować Bogu za jakąś tam pracę, albo wymyślić coś, co zupełnie zmieni moje życie i nada mu prawdziwy sens. W chwilach takich rozważań nawet cieszyłem się trochę z tego raka; to mnie usprawiedliwiało przed poniesieniem ewentualnej klęski, w dodatku większej od tej, którą poniosłem do tej pory. Owszem, moje życie

mogło być jeszcze bardziej żałosne. W domu postawiłem na stół wszystkie zakupy, posprzątałem po śniadaniu, pościeliłem łóżka, a potem znowu je rozbebłałem. Już nic nie muszę. Ani świecić przykładem, ani nie świecić, nic. Mógłbym nawet popełnić samobójstwo, wyskakując z balkonu, ale nieźle bym się przy tym zziątał, bo mieszkałem na pierwszym piętrze. Zajrzałem do komórki, nikt nie dzwonił. Młody miał być u matki za pięć godzin. Obiecał się odezwać, kiedy dojedzie na miejsce. Włączyłem telewizor, otworzyłem browar, upiłem kilka łyków. Już miałem zamiar pójść na balkon zapalić, kiedy przypomniało mi się, że nigdzie nie muszę wychodzić. Przyniosłem słoiczek po koncentracie pomidorowym, w połowie wypełniony wodą, i z lubością zaciągnąłem się papierosem. W pokoju. Czułem się trochę dziwnie, może nawet niezręcznie, ale dałem z siebie wszystko, żeby wytrzymać i dopalić papierosa na kanapie. Potem zmusiłem się, żeby nie otwierać okien, chociaż strasznie śmierdziało. Zaczęła mnie swędzić lewa stopa, podbicie. Obejrzałem to miejsce dokładnie przez lupę. Ponieważ nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zmiany, a swędzenie było coraz bardziej natarczywe, sięgnąłem po doktora Google'a. Marskość wątroby jak nic. Sypałem się i miałem bolesną tego świadomość. Żeby się nie rozkleić, otworzyłem kolejne piwo, a potem jeszcze jedno. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem, ale jak zwykle nic mi się nie śniło.

Kiedy się obudziłem, w pokoju strasznie śmierdziało. Ilość petów w słoiczku była imponująca. Obok łóżka leżały puste puszki. W pierwszym odruchu wystraszyłem się, jak wytłumaczę to synowi, ale potem sobie przypomniałem, że wyjechał. Sięgnąłem po telefon. Wczoraj wieczorem przysłał SMS-a, że dojechał. Tylko tyle. Doceniałem jednak, że dotrzymał słowa. Ile mogłem spać? Jakies siedemnaście, osiemnaście godzin? Ostatnio spałem tak długo, kiedy byłem niemowlakiem. A więc sięgnąłem dna. Upiłem się sześcioma piwami. Niżej upaść nie można. Postanowiłem dać sobie jeszcze kilka dni wolnego, żeby się otrząsnąć. Jeśli nikt się nade mną nie użalał, najwyższy czas, żebym ja sam to zrobił. Kiedy przeszedł mi

wstyd, postanowiłem być dla siebie naprawdę dobry. Pewnym zdarzeniom trzeba pozwolić się zadziać. Po prostu.

Dni mijały zbyt szybko, żebym mógł nad tym zapanować. Rytm życia wyznaczały mi potrzeby fizjologiczne: jedzenie, sranie, chlanie, szczanie. Mogłem to teraz powiedzieć na głos, nie musiałem już uważać, żeby nie dawać złego przykładu. Mogłem zrobić, co tylko chciałem, więc nie robiłem nic. Niestety, mojego stanu nie można było nazwać błogostanem. Nie rzuciłem papierosów. Zamiast na żarcie pieniądze wydawałem na piwo. Czas przeciekał mi przez palce. To był odpowiedni moment, żebym mógł poczuć się szczęśliwy, ale narzucony przez lata praktyki kierat nie dawał mi tego szczęścia odczuć. Czułem, że się nie wywiązuję z powinności, że coś tracę. Balansowałem, non stop balansowałem na tej cholernej linii wpojonego obowiązku i nie umiałem po prostu z niej zejść. Po chuj wracać do domu po przekroczeniu równika, skoro można go przelecieć jeszcze ze dwa razy? Zaczynałem wariować. Chciałem działać, musiałem działać, bo nie umiałem inaczej, ale okoliczności, w których się znalazłem, zatrzymywały mnie w miejscu. Byłem jak koń, któremu ściągnięto cugle. Chciał biec, ale nie wiedział, w którym kierunku. Stał więc w miejscu, zdeorientowany i zagubiony. Biec, biec przed siebie, aż padniesz na twarz. Zastanawiałem się, dlaczego podczas weekendu majowego potrafiłem wrzucić na luz. Tam, w tym Rajgrodzie. Aha, przecież nie byłem tam dla przyjemności, dla siebie, tylko czekałem na sygnał od wychowawczynie, kiedy przyjechać po syna. A więc obowiązek. Obowiązek, podczas którego można ukraść chwilę dla siebie, jest dobry. Chwila dla siebie, która jest obowiązkiem samym w sobie, jest zła. Im dłużej o tym wszystkim myślałem, tym byłem bardziej wściekły, przede wszystkim na siebie. Żyłem tak, jak oczekiwali tego inni, niemalże pod linijkę, i miałem pretensje do całego świata, gdy tymczasem to tylko ja byłem temu winny. Postanowiłem być dla siebie srogi i sobie nie przebaczać. Ale poczucie straconych lat coraz bardziej mnie uwierało. Leżenie na kanapie z piwem w ręku też. Po trzech tygodniach zadzwonił syn z pytaniem, czy

wszystko u mnie dobrze. Tak, świetnie. Potem wrócił do tematu dobrych szkół w stolicy. Musiałem działać natychmiast. Nie byłem gotowy, żeby znów z nim mieszkać. Nie w tym momencie. Moja odpowiedź wprawiła nas obu w zdumienie. Postanowiłem się przeprowadzić.

Dobrze, że nie zapytał dokąd, ani nic w tym stylu, bo sam nie znałem odpowiedzi. Rozłączył się, a ja jeszcze długą chwilę trzymałem telefon przy uchu. Jeśli się powiedziało A, powinno się powiedzieć B. W sumie, jeśli dłużej by nad tym pomyśleć, nic mnie tu nie trzymało. Mogłem wyjechać, wynająć jakąś chałupkę i żyć z wynajmu mojego mieszkania w Warszawie. Skromnie, ale spokojnie. Mogłem też zrobić krok dalej, sprzedać warszawskie lokum i kupić inne, w dowolnym mieście. To wiązałoby się z trudniejszym rynkiem pracy, ale miałem oszczędności na rok, do tego czasu na pewno coś znajdę.

Coś, co było wykrętem, nieoczekiwanym blefem, stało się chwilowym sensem nudnego i gorzkiego życia. Znowu to poczułem, jak za młodych lat, że być może jeszcze wszystko jest możliwe, że mogę wyskoczyć z tego pędzącego pociągu powinności, który wiezie mnie prosto na cmentarz. Powiem więcej, już z niego prawie wyskoczyłem. Póki co, od kilku tygodni pociąg zwolnił, ślimaczył się, mogłem naprawdę to zrobić. Godzinami prowadziłem w myślach dyskusje, używałem argumentów, analizowałem. Chciałem być gotowy, kiedy inni zaczną siać wątpliwości i odwodzić mnie od tego szalonego pomysłu. Chciałem umieć ich przekonać, ale przede wszystkim najpierw chciałem przekonać samego siebie. Nie miałem wiele czasu. Znając syna, zapewne zaraz poskarży się swojej matce, a najpewniej i babce, czyli mojej matce, że ojciec na starość oszalał. Na wszelki wypadek wyciszyłem telefon. Potem znowu go pogłośniłem. Gdybym zignorował kilka połączeń od rodzicielki, mógłbym jeszcze zobaczyć ją w swoich drzwiach. Na konfrontację na żywo nie byłem gotowy. Świadomość zagrożenia zmobilizowała mnie do szybszych przemyśleń. Nie było na co czekać. To była naprawdę ostatnia szansa. Żeby rozjaśnić umysł, sięgnąłem

po piwo. Kilka piw zawsze nastrajało mnie optymistycznie. Otworzyłem laptopa i stanąłem oko w oko z moim jedynym przyjacielem niedoli – doktorem Google'em.

Opierając się na własnej inteligencji, najpierw wpisałem hasło „dom na wsi”. Pole poszukiwań było jednak za szerokie. Nawet gdybym był największym optymistą na świecie, nie byłbym w stanie przebrnąć przez liczbę wyników, która mi wyskoczyła. Sprytnie dodałem więc słowo „jezioro”. To jednak nie ułatwiło mi sprawy. Potem były różne wariacje w stylu „dom na wynajem”, „dom na sprzedaż”, „samotnia”, „chuj, dupa i kamieni kupa”. Potem przypomniałem sobie o Rajgrodzie, i dopiero w tej właśnie chwili zachwyciła mnie nazwa miejscowości. Raj i gród. A gdyby mi się nie powiodło – raj i grób. Słowo raj łagodziło nieco wydzźwięk ewentualnej porażki. Zapaliłem się do tego pomysłu. Gdybym kupił chałupę z opcją na wynajem pokoi w sezonie, miałbym dodatkowe źródło dochodu. Żadne tam ą i ę, żadnych gości podobnych do mnie, nudnych, zgorzkniałych i takich tam. Studenci, luzacy, kocham ten stan. Niebo nade mną i we mnie. Zawęziłem poszukiwania do domu nad jeziorem w Rajgrodzie. Znalazłem dwie aktualne oferty. Jedną była rozpadająca się chałupa w centrum, z której do jeziora było – jak pisał właściciel – czterdzieści minut miłego spaceru pośród łąk i pól. Komu będzie się chciało tyle spacerować? Drugie ogłoszenie było nieco przyjemniejsze. *Dom z duszą mogący pełnić funkcję całorocznego, wyposażony w kominiek z rozprowadzeniem ciepła, wszelkie media, z własną linią brzegową nad jeziorem sprzedam pilnie z powodu wyjazdu.* Spojrzałem na zegarek. Była jakaś dwudziesta trzecia. Czy powinienem dzwonić? Zrobiłbym to, ale nie chciałem już od początku wkurwić potencjalnego kontrahenta. Napisałem SMS-a z pytaniem, czy ogłoszenie jest nadal aktualne. Nie odpisał, za to zadzwoniła moja matka. Nie, to się w głowie nie mieści. Wykorzystywałem zaległy urlop wypoczynkowy, miałem obywatelskie prawo już dawno spać. Jeśli zadzwoni jeszcze raz, po prostu udam, że mnie obudziła. Jednak tego wieczoru dała już

spokój. Wiedziałem, co się kryje za jej telefonem. Moje Dziecko lubiło gadać, a wieści szybko się rozchodzą. Czułem, że mój czas się kończy. Zamknąłem laptopa, dopiłem piwo i poszedłem spać.

Obudziłem się rano. Czekając, aż minie mój poranny wzwód, uświadomiłem sobie, że od dwóch dni się nie myłem i nie onanizowałem. Czy to oznacza, że naprawdę się zestarzałem? Wyszcząłem się – teraz już nie musiałem myśleć poprawnie. Delektowałem się tym uczuciem – i wskoczyłem pod prysznic. Zrobiłem sobie dobrze, nie myśląc o niczym szczególnym. Po pięciu minutach wyskoczyłem spod prysznica radosny jak skowronek. Smażyłem jajecznicę, kiedy zadzwonił telefon. Nieznany numer, a raczej nieznany facet, do którego wczoraj napisałem SMS-a z pytaniem o dom. Gość potwierdził, że oferta jest aktualna. Zapraszał do Rajgrodu na oględziny. Uprzedził, że teraz, w sezonie, dom jest wynajmowany. Mogłem kupić go natychmiast i przejąć klientów, ale ciągle nie znałem ceny. Mogłem też kupić go po sezonie, wiążąc się teraz odpowiednią umową. Ta druga opcja odpowiadała mi bardziej. Obawiałem się, że moje oszczędności nie zadowolą sprzedającego i będę potrzebował czasu na sprzedaż mieszkania. Bo przecież nikt nie da mi kredytu. Umówiliśmy się na wieczór, w Rajgrodzie. Byłem z tego zadowolony. Najwyższy czas podjąć męską decyzję i albo zmienić swoje życie, albo nie. Nie zamierzałem dłużej przeciągać tego mazania się jak baba. Po śniadaniu ogarnąłem trochę kuchnię, w razie gdybym w najbliższym czasie zapraszał do domu obcych ludzi, klientów. W chwili słabości miałem oddzwonić do matki, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Napisałem jej krótkiego SMS-a, że jestem cały dzień zabiegany i że oddzwonię wkrótce. Tym samym zyskałem na czasie jeden dzień, ale co tu dużo mówić, sytuacja stała się bardzo poważna. Obawiałem się, że pod wpływem jej wątpliwości moje bohaterskie próby zmiany życia spełzną na niczym. Nie lubiła zmian i zawsze byłem przekonany, że ja również.

Wyruszyłem do Rajgrodu zaraz po śniadaniu. Tym razem dotarłem na

miejsce szybciej. No tak, przecież wszyscy normalni ludzie siedzą właśnie w biurach i przerzucają na biurkach tony papierów. Umówiłem się z gościem w barze Smakosz, ale po dojechaniu na miejsce poczułem się zdezorientowany. Okazało się, że w tej niewielkiej miejscowości jest pięć barów o tej samej nazwie. To ciekawe. Wyobraziłem sobie, że z czasem, za kilka lat, otwieram kolejny. Ta myśl mnie rozbawiła. Zaparkowałem na jakimś skwerku, wysiadłem z auta, zapaliłem papierosa i zachłysnąłem się świeżym powietrzem. Miałem jeszcze trzy godziny do spotkania, musiałem jakoś zabić czas. Ponieważ nie znałem adresu domu na sprzedaż, nie mogłem się zabawić w szpiegowanie. Za placem, przy którym się zatrzymałem, dojrzałem kawałek wody. Postanowiłem najpierw pójść w tamtym kierunku. Po trzech godzinach znałem Rajgród jak własną kieszeń. Zatrzymałem się w każdym barze, zajrzałem do każdego sklepu. Wszędzie było bardziej gwarno niż w Warszawie. Piętnaście minut przed spotkaniem zadzwoniłem do gościa, uściślając lokalizację miejsca spotkania. Potem było całkiem przyjemnie. Uścisnęliśmy sobie dłonie, wsiałem do swojego auta i pojechałem za nim.

Dom nie rzucił mnie na kolana. Nie było to żadne modne rozlewisko, całość wydawała się mniejsza i skromniejsza niż na zdjęciach w Internecie, ale okolica była wspaniała. Może dlatego, że już ją znałem i miałem bardzo przyjemne skojarzenia. Dom znajdował się kilkanaście metrów od jeziora, lata świetności miał już za sobą. Trzeba by wymienić dachówkę i otynkować. W środku nie było lepiej. Dawno w to nikt nie inwestował. Studentom to nie przeszkadzało, mi – z racji wieku i pewnych przyzwyczajień – trochę tak. Cztery sypialnie, kuchnia, pokój dzienny, dwie małe łazienki. Dałoby się tu żyć. Największą zaletą była okolica. Własny kawałek jeziora, odgradzony od sąsiadów, zachwaszczony trawnik, dziurawy pomost. Ale gość wiedział, co robi, zabierając mnie tu wieczorem. Zachód słońca robił wrażenie nawet na tak wypalonym człowieku jak ja. Gdybym kupił tę rudere, musiałbym wydać na nią wszystkie moje oszczędności i dodatkowo sprzedać samochód. Ale już

wcześniej skalkulowałem, że mogłem wynająć moje warszawskie mieszkanie i póki co z tego żyć. To nie było rozsądne i zupełnie nie w moim stylu, ale zdecydowałem się kupić ten dom. Poza tym, jaki ja miałem ten cały swój styl? Mdły, przewidywalny i zachowawczy. Gdybym nadal się nim kierował, równie dobrze mógłbym zostać na starych śmieciach, użalając się nad sobą do końca swojego żalostnego życia. Nie byłem jednak przygotowany mentalnie na natychmiastową zmianę. Kusiło mnie, żeby poprosić o czas do namysłu. W mojej głowie rozgrywała się walka między tym, co oswoiłem i co mnie unieszczęśliwiało, a jednak było znane i bezpieczne – a nieprzewidywalnym. W takich chwilach zaczynasz rozumieć, że Bóg chce ci poukładać życie, a ty – wielki specjalista od zarządzania zmianą, jesteś swoim największym wrogiem. Postanowiłem pokonać samego siebie. Byłem prawie zdecydowany. Czułem się, jakbym wszystko tracił i jednocześnie wszystko zyskał. To było szaleństwo. Podpisałem umowę przedwstępną. Tak to się nazywało. Taka umowa, która nic nie gwarantowała i do niczego nie zobowiązywała, jednak była ważna, bo w mojej urzędniczej naturze podpis to był podpis. W umowie zobowiązałem się zawrzeć kolejną umowę, już docelową, w terminie kolejnych dwóch tygodni. Musiałem zdecydować, czy chcę się przeprowadzić jeszcze w sezonie, kiedy dom jest pełen ludzi, czy poczekać, aż opustoszeje. Tu pojawiły się kolejne wątpliwości. Studenci byli zapewne na etapie mentalnym syna. Zastanawiałem się, czy będąc właścicielem domu i czując odpowiedzialność za jego mieszkańców, będę się potrafił wyzbyć mentorskich nawyków i czy przede wszystkim znowu zacznę myśleć poprawnie. Słowo „szczać” podobało mi się o wiele bardziej niż „sikać”. Reasumując: byłem starym ramolem, który nie wiedział, czego chce. Ale podejrzewał, czego nie chce, i to już było coś. Biorąc pod uwagę zagrożenie, że cała rodzina będzie mnie odwozić od zmiany, wmawiając mi kryzys wieku średniego, musiałem działać naprawdę szybko. Kiedy wracałem do Warszawy, wiedziałem, że najdalej za dwa tygodnie zamieszkać w swoim nowym domu. Nie przeszkadzali mi imprezujący

studenci. Kupiłem dom z całym dobrodziejstwem inwentarza. W najgorszym razie będę miał lokatorów do końca września, a potem ahoy, roku akademicki. Było późno, kiedy dotarłem na miejsce, wyczerpany. Puściłem strzałkę matce. Na pewno już spała, ale chciałem, żeby rano zobaczyła na wyświetlaczu, że oddzwaniałem. Rzuciłem się na łóżko, zasnąłem. Jak zwykle nic mi się nie śniło.

Nazajutrz umieściłem w Internecie ogłoszenie o wynajmie mieszkania. Potem je usunąłem. Grunt to zdecydowanie w działaniu. Zadzwoiłem do agencji wynajmu nieruchomości i umówiłem się z agentem. Miałem trzy godziny, żeby wysprzątać. Poszło całkiem sprawnie. Gdybym umówił się z kobietą, na pewno natychmiast zauważyłaby wszystkie niedociągnięcia. Sprzątałem głównie po tak zwanym rynku, ale efekt – moim zdaniem – był imponujący. Facet przyszedł, zrobił kilka zdjęć, dogadaliśmy się co do warunków wynajmu. W przebłysku geniuszu zadeklarowałem, że jestem skłonny wynająć mieszkanie za niższą cenę niż na rynku, ale z opcją zapłaty za rok czy dwa lata z góry. Podpisaliśmy stosowne dokumenty. Byłem z siebie dumny. Tydzień później moje mieszkanie zostało wynajęte na dwa/trzy lata. Pierwszą transzę dostałem przy podpisywaniu umowy najmu, kolejna miała wpłynąć na konto w ciągu miesiąca. Tym samym byłem bezdomny, ale na stanie został mi samochód. Zadzwoiłem do gościa z Rajgrodu i potwierdziłem chęć zakupu domu. *W ostatnim momencie, powiedział, bo właśnie podpisałem drugą umowę przedwstępną kupna.* Spotkaliśmy się u notariusza tydzień później. Po załatwieniu formalności stałem się szczęśliwym posiadaczem działki nad jeziorem o wielkości dwóch tysięcy metrów kwadratowych z nieruchomością o powierzchni stu siedemdziesięciu metrów. Stan mojego konta wynosił zero, ale byłem z siebie zadowolony. Wróciłem do domu, zacząłem opróżniać szafy. Rzeczy Dziecka spakowałem do kartonów i zatachałem do piwnicy. Co do swoich – miałem dylemat. Część z nich również upchałem w pudłach, kolejne odłożyłem na kupkę „na sprzedaż”, jeszcze inne „dla biednych” i ostatnie „do

zabrania”. To mi zajęło kolejne dwa dni, ale z satysfakcją stwierdziłem, że cel został osiągnięty. Garnitury i krawaty szybko zeszły na Allegro, potrzebowałem jednego dnia, żeby zamówić kuriera i nadać paczki pod nowy adres. W przeszłości zdarzało mi się pisywać do siebie pisma. Szczególnie w czasie urlopowym, kiedy trzeba było zastępować kolegów z sąsiednich działów. *Panie Taki i Taki, w załączeniu przekazuję pismo zgodnie z właściwością, z prośbą o zajęcie się sprawą. Z poważaniem Pan Taki i Taki.* Spakowałem do auta bagaż, kolejny raz przejrzałem puste szafy. Czy było mi żal? Tak i nie. Decyzje zapadły, nie było odwrotu. Zamówiłem firmę sprzątającą, która miała odświeżyć mieszkanie. Potem po prostu przekazałem klucze najemcy i odjechałem.

Kiedy dotarłem do nowego domu, impreza trwała w najlepsze. Wszędzie wały się butelki, które mogłem sprzedać i kupić za nie chleb i domestos. Łazienki były zarzygane, a towarzystwo zupełnie niekomunikatywne. Z ulgą pomyślałem, że nie jestem tu niczym ojcem. Zrobiłem obchód domu, ale wszystkie łóżka były zajęte. W spiżarni znalazłem zatęchłą karimatę. Pierwszą noc spędziłem pod gwiazdami. Kolejną również. Kiedy się rozpadało, zamieszkałem w spiżarni. Chciało mi się żyć.

Tego uczucia nie zepsuły nawet rozmowy z matką. Każdą cząstką swego jestestwa dziękowałem opatrności, że rozmawiałem z nią już z perspektywy spiżarni. Tu byłem bezpieczny. Na szczegóły rozmów powinien spuścić kurtynę milczenia. Wspomnę tylko, że nie było łatwo i po przejściu etapu próśb, tłumaczenia i odwoływania się do rozsądku, zrozumiałem, po kim mam tendencję do takich brzydkich słów, jak szczanie i ruchanie. To po prostu geny.

Czułem się jak król życia. Byłem uciekinierem, banitą i nikt nie znał mojego adresu. Spałem w zatęchłej spiżarni, czekałem w kolejce do kibla, żeby się wysrać, mój dom wyglądał jak pokój syna. Przestałem używać smartfona i dałem się ponieść życiu. A ono prowadziło mnie do jeziora, do

sklepu spożywczego, do baru Smakosz i z powrotem do spiżarni. Turnus wyjechał, zjawił się kolejny. Dziesięć nowych twarzy, kilka cipek, pieniądze na chleb i alko. Tyle, że żadna panna mnie nie chciała. Może już wyszedłem z wprawy, może w tym całym towarzystwie wyglądałem groteskowo z moją prawie pięćdziesiątką na karku, i nie umiałem zagajać jak ci wszyscy kolesie, którym wieszają się na szyjach. W powietrzu było czuć spernę, miałem chęć z kimś się pieprzyć, ale póki co byłem nadal zdany na własną rękę. Dwa razy sąsiedzi wzywali do nas policję. Oczywiście ja – jako właściciel i gospodarz – musiałem się tłumaczyć. Cztery razy interweniowali sąsiedzi. Gość, który sprzedał mi ten dom, zapomniał mnie uprzedzić, że sprzedaje mi również upierdliwych sąsiadów, a ja zapomniałem zapytać. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że pretensje płyną z jednego domu, z którym dzieliłem płot. Nie zamierzałem jakoś szczególnie z nikim się zaprzyjaźniać, ale poruszyła mnie historia o chorym dziecku, które rodzina przywozi nad jezioro w celu regeneracji. Dziecko musi w nocy spać. Tylko tyle zapamiętałem z pogadanki, którą przeprowadził ze mną miejscowy policjant. Wyraziłem skruchę i obiecałem poprawę. Wreszcie zrozumiałem syna, który buntował się, że stale uciszałem go zza ściany, kiedy zapraszał do domu kolegów. Niemniej resztki przyzwoitości kazały mi poprosić skacowanych gości o balowanie do godziny 22, a następnie dobijanie się alkoholem w ciszy albo w domu. Chore dziecko, regeneracja. Nie rozumieli, ale to ja tu byłem panem. Po tygodniu nastąpiła zmiana gości, na cipki już nie zwracałem uwagi, zgarnąłem pieniądze na chleb, zapomniałem o pouczeniach. Po kolejnej bezskutecznej interwencji policji, pod koniec wakacji, przyszła do mnie sąsiadka, wyrażając oburzenie na znieczulicę i obojętność. Zdziwiłem się, że kobieta w tym wieku może mieć małe dziecko, ale nie powiedziałem tego głośno. Wyraziłem skruchę i obiecałem poprawę. Normalka. Teraz rozumiałem czcze obietnice składane przez Dziecko. To również były geny. Jego geny, które mimowolnie przeszły na mnie.

Byłem poszkodowany przez rodzinę, przez byłego pracodawcę, przez

byłą żonę i najbardziej ze wszystkich – przez siebie. A tymczasem, wbrew temu, co zawsze myślałem – byłem rycerzem na białym koniu, któremu wmówiono, że jest łapserdakiem na ośle. Moja samoocena rosła z dnia na dzień. Nie zastanawiałem się, co przyniesie mi jutro. I z czego będę żył. Czy przeżyję, zrywając jeżyny w lesie? Strach przed pytaniami egzystencjalnymi doprowadził mnie do tego miejsca, w którym właśnie teraz byłem. Musiałem zaufać przeznaczeniu. W ostateczności mogłem sprzedać samochód, mogłem na pewno wiele, choć nic innego nie przychodziło mi do głowy. Goście wyjechali, dopiero wtedy usłyszałem zza drzewopłotu, że rzeczywiście moi sąsiedzi istnieją. Życie wiedli cichutkie, smutne, w skupieniu. Rozpoznawałem głos dziewczynki i kobiety, która przychodziła mi zwracać uwagę. Z ich rozmów wywnioskowałem, że to babka dziecka, a nie jak wcześniej sądziłem – matka. Pod koniec września wyjechały i wokół nastąpiła cisza. Delektowałem się nią jeden dzień, ale nie oszukujmy się, byłem całe życie przyzwyczajony, że mam przełożonego – jak nie matkę, to dyrektora czy ministra. No i całe lata toczyłem utajone wojny z synem... Zmieniłem miejsce zamieszkania, zamknąłem sobie powrót na rynek pracy, znalazłem się na jakimś zadupiu, w domu, który wymagał generalnego remontu... Dopóki wokół był gwar, nie słyszałem własnych myśli i sytuacja mnie bawiła. Teraz zrozumiałem grozę mojego położenia. Nie miałem dokąd wrócić. Oczywiście być może matka przyjąłaby mnie na jakiś czas pod swój dach, ale czułem, że nie udźwignąłbym ciężaru wymówek. Byłem skazany tylko na siebie. Skazany to idealne słowo. Co kilka dni dzwoniłem do syna. Zdaje się, że nadal był na mnie trochę obrażony, jednak uspokoiło go, że nie sprzedałem mieszkania w Warszawie, a jedynie wynająłem na trzy lata. Miał focha, ale do końca mnie nie przekreślił. Tymczasem zrobiłem generalne porządki. Uprałem koce i kołdry, wyszorowałem kible itede, ale to nie poprawiło mojego nastroju. Znajdowałem się na fali zniżkowej, miałem odpływ, przy którym odpływ oceanu jest niewinną igraszką. Czułem, że zapędziłem się w kozi róg i utknąłem zaklinowany na amen. Nie wiem, co

właściwie sobie myślałem, kiedy podpisywałem akt notarialny. To miał być wielki *comeback* do radości życia, a zrobiła się z tego wielka ucieczka. Tak. Nazwijmy to po imieniu. Byłem zwykłym tchórzem. Spierdoliłem sprawę. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy spacerując po okolicznych polnych drózkach, cieszyłem się z każdego znalezionej patyka/zbierałem opał na zimę/, mój smartfon przemówił do mnie głosem nadziei.

Kiedy użalałem się nad sobą, w ministerstwie przeprowadzono konkurs, w którym wybrano mojego następcę. Informacja o tym właśnie ukazała się na stronie internetowej resortu. Nie sądziłem, że ktoś takie rzeczy sprawdza, jednak okazało się, że jak w wielu sprawach, i tu się myliłem. Zacząłem odbierać nieśmiało telefony, najpierw jeden, potem kolejny. Szefowie firm, którzy w przeszłości aplikowali o dopłaty z Unii Europejskiej, z różnym, najczęściej negatywnym skutkiem, szukali wykwalifikowanego doradcy, który zgodzi się, za odpowiednią opłatą, napisać wniosek o dofinansowanie, tak żeby tym urzędasom i nierobom z ministerstwa utrudnić jego odrzucenie. Wziąłem to. Może miałem słaby kręgosłup moralny, bo przecież nie powinienem tak łatwo przejść na stronę wroga. Ale nie będę ściemniał – o dopłatach i wnioskach wiedziałem wszystko. Znałem zasady przyznawania punktów, a co najważniejsze – znałem mentalność i sposób myślenia moich byłych pracowników. Poza tym, co tu dużo mówić, chciałem im trochę dokopać. Kwestie finansowe również miały znaczenie. Wieść o mojej dyspozycji roznosiła się pocztą pantoflową. Firmy zaczęły dzwonić jak opętane. Tu pojawił się problem. Przecież wszystkie wnioski nie mogą być merytoryczne i absolutnie nie do odrzucenia, bo część z nich odrzucić trzeba. Postanowiłem więc skoncentrować się na projektach firm o największym potencjale. Nie musiałem harować jak wół, prezesi byli mi wdzięczni, miałem zajęcie, w którym czułem się pewnie, a na konto wpływały niezłe pieniądze. Można by powiedzieć, że wreszcie zacząłem zarabiać na swojej wiedzy. Pensja, którą przelewało mi kiedyś ministerstwo, była zwykłą jałmużną. Praca w resorcie była misją. Teraz sprawdzałem się w biznesie.

Harówka w urzędzie daje prestiż. Prestiż oczywiście na zewnątrz, bo zupełnie nie rozumiem, dlaczego wszyscy uważają, że to taki zaszczyt. Jednak kiedy tam pracujesz, też tak myślisz: że nieźle to wygląda. W rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Tak więc podczas spacerów, kiedy znalazłem jakiś patyk, odrzucałem go daleko przed siebie. To zrodziło w mojej głowie pomysł, żeby kupić psa.

Tym sposobem zrobiłem kolejny ważny krok w moim życiu. Podjąłem decyzję o poważnym związku. Po pierwszym impulsie postanowiłem pójść za ciosem i pojechałem do schroniska. Przygarnąłem odrośniętego szczeniaka, kundelka o oryginalnym imieniu Kundel. Ten, kto wymyślił to imię, musiał być geniuszem. Kundel był miłym psem, choć trochę zastraszone, niepewnym siebie, nieco zbyt hałaśliwym i nerwowym. Dobrze mu patrzyło z oczu. Nie miałem pojęcia, co mu siedzi w głowie, ale wyobrażałem sobie, że w skali psów jest moim odpowiednikiem. Czyli powinien rozumieć rozterki, które mną targały i które wreszcie mogłem wypowiadać na głos bez obawy, że ktoś weźmie mnie za wariata. To był pies, który umiał słuchać. Przez kolejne miesiące opowiedziałem mu o wszystkim, co mnie spotkało. Słuchał spokojnie, powstrzymał się od wszelkich komentarzy. Wbrew moim obawom nie miałem z nim najmniejszych problemów wychowawczych. Szybko się zaaklimatyzował w naszym domu i ogrodzie. Nie próbował uciekać, nawet kiedy opowiadałem mu o swojej matce. Wreszcie miałem kogoś na dobre i na złe. Gdy pracowałem nad wnioskami, kładł się u moich stóp i skulony w kłębek grzecznie czekał. Gdyby syn w przeszłości był równie grzeczny, mógłbym teraz być ojcem patologicznej rodziny wielodzietnej. Ale niczego, co się zdarzyło, nie żałowałem. Wszystko było po coś i prowadziło mnie do celu, którego nie widziałem. I chociaż wędrowałem po omacku, czasami zatrzymując się w pewnych miejscach na dłużej, jakaś siła pchała mnie do przodu. Oczywiście martwiłem się, co się stanie z Kundlem, jak umrę na raka. Uprzedziłem go już pierwszego dnia, że tak to się może skończyć.

Mimo wszystko nie odszedł. Byłem mu za to wdzięczny.

À propos syna, bardzo mi go brakowało, mimo wszystko. Odkąd zacząłem mieszkać sam, w niepamięć poszły wszelkie spory, kłótnie i nieporozumienia. Już nie pamiętałem, jak rozrzucał brudne skarpetki po całym pokoju, jak, mimo zakazu, notorycznie palił papierosy, jak wszędzie wałały się śmieci. Zapomniałem o wszystkich porankach, kiedy na siłę musiałem go wyrzucać z łóżka do szkoły, dniach, kiedy wzywany do wychowawcy musiałem za niego przeproszać. Wszystkie przekleństwa przemieniły się piękne słowa typu: pokój i miłość. Jeszcze chwila i każde z nich zakwitnie pachnącym kwiatem. On, zmieniając miejsce zamieszkania, zdaje się także równocześnie zmienił swoje nastawienie do mnie. Często rozmawialiśmy, może nawet więcej niż wtedy, kiedy mieszkaliśmy pod jednym dachem. Syn dorastał, choć o dojrzałości jeszcze nie było mowy. Mimo wszystko cieszyła mnie ta dobra, braterska relacja między nami. To znaczyło, że nie zmarnowaliśmy czasu, który w przeszłości spędziliśmy tylko we dwoje. Nie zamierzałem jednak nigdzie się ruszać, zanim się sam ze sobą do końca nie poukładam. On również budował nową bazę znajomych. To zajmowało go we wszystkie weekendy, a ja, kiedy mocno się skupilem, potrafiłem z uśmiechem przypomnieć sobie, ile kurew trzeba było z siebie wyrzucić, kiedy na noc nie wracał do domu. Fajne to były czasy. Kiedy stan mojego konta wyszedł z największej fazy kryzysu i zaczęło się ono wypełniać złotówkami, obiecaliśmy sobie, że razem gdzieś wyskoczymy. Wiem, byłem okropnym egoistą, marnotrawnym ojcem i synem, ale nadal nie zamierzałem nikomu zdradzać swojego adresu. Po jesieni nadeszła zima, niby banał, ale to była pierwsza zima od lat, której doświadczyłem każdą cząstką swojego ciała. Stanie przez cztery godziny w korku, kiedy w Warszawie spadł pierwszy śnieg, było bułką z masłem w porównaniu z tym, co przeżyłem na moim ranczu w Rajgrodzie. Nie będę o tym opowiadał, jeszcze nie jestem na to gotowy. Potem, jak to w życiu bywa, przyszła wiosna i wtedy zrobiło się naprawdę pięknie. Wszyscy wiemy, jak jest. Wynająłem rolnika z traktorem,

żeby przeorał mi ogród. Potem sam, własnoręcznie, wysiałem trawę. Zamontowałem przenośne zraszacze. Kiedy się zazieleniło, postanowiłem działać dalej. Kupiłem farby i zacząłem odmalowywać, co tylko się da. To też był dobry czas. Umordowany pracą fizyczną, zasypiałem wieczorem jak kamień. Kundel się trochę fochał, że nie chodzimy na spacer, ale sorry, miałem już swoje lata i musiałem mierzyć siły na zamiary. Odkryłem, że mam do tego talent. Remont sprawiał mi przyjemność, choć zakres prac był minimalny. Przez całe życie nigdy nic nie naprawiłem i nie wyremontowałem, bo myślałem, że nie umiem. A tu proszę. Jeśli dodać do tego niewielkie przemeblowanie, jakie zrobiłem na koniec, które polegało na dopasowaniu do siebie podobnych mebli w poszczególnych pomieszczeniach – zrobiło się całkiem stylowo. Z większych rzeczy czekały mnie jeszcze wymiana dachu i zrobienie elewacji, jednak te prace odłożyłem do jesieni. Wiosną zza płotu ponownie usłyszałem głos sąsiadki i dziecka. Przybyły równo z bocianami. Sezon zbliżał się wielkimi krokami. To mi uświadomiło, że muszę natychmiast zdecydować, czy będę wynajmował latem pokoje dla gości, czy nie.

Neutralność Kundla miała swoje dobre i złe strony. Dobre, bo nie mędrkował, nie pouczał mnie i nigdy nie powiedział „a nie mówiłem”. Złe, bo dawał mi absolutny wybór, nawet wtedy, kiedy potrzebowałem czyjejś rady. Nawet nie drgnął, kiedy prosiłem, żeby mi pomógł podjąć decyzję. Żadnego skrzywienia łba, nic. Jakby był posągiem, a nie żywym stworzeniem. Albo spinała go konieczność wzięcia na siebie odpowiedzialności, albo miał do mnie absolutne zaufanie. Nie wiedziałem, co byłoby gorsze. Po setnym obejściu domu i ogrodu, w końcu postanowiłem wynajmując pokoje studentom. Z jednym zastrzeżeniem, że tym razem nie zamierzałem spać w spizarce. Nie mogłem tego zrobić Kundlowi. Był pełnoprawnym członkiem rodziny i potrzebował godnego miejsca do spania. Na rajgrodzkim portalu umieściłem ogłoszenie o wynajmie, nie wchodząc w szczegóły. Niech Bóg przyprowadzi pod ten dach takich letników, jakich

uzna za stosowne. Oczywiście już po dwóch tygodniach miałem rezerwacje na cały sezon. *Będzie głośno, ale nie będą narzekać na brak luksusów*, wytłumaczyłem sobie i Kundlowi. *Przy okazji nauczymy się, jak postępować z gośćmi i za rok zaprosimy kogoś bardziej cywilizowanego*. Oczywiście trochę było mi żal tych świeżo odmalowanych ścian i nowych kibli w łazienkach, ale postanowiłem się trzymać podjętych decyzji. Nie ukrywam, że w głębi duszy miałem nadzieję, że wreszcie pod mój dach zabłąka się jakaś miła studentka, która przypomni mi, jak smakuje seks. Często ją sobie wyobrażałem: szczupła, o długich blond włosach, piersiach rozmiaru DD, wąskiej talii i pięknie zaokrąglonych biodrach. Długie nogi zakończone ślicznymi zgrabnymi stópkami. Twarz nie miała znaczenia. Do listy życzeń mógłbym jeszcze dodać pragnienie, aby pochodziła z daleka, gdzie nie uczą żadnych cywilizowanych języków. Nie musiałbym wtedy z nią rozmawiać, a tym bardziej nie rozumiałbym potencjalnych pretensji i wyrzutów. To oczywiście było mało realne, każdy głupi to wie, ale miło jest pomarzyć. To stało się moją obsesją. Wieczorami, przed snem, wyobrażałem sobie, jak podchodzi do mnie, szepcze namiętnie jakieś *ching czon czen*, a ja uśmiecham się zawadiacko i pociągam ją w stronę łóżka. Na tym musiałem kończyć marzenia, bo obok mnie spał Kundel. Nie mogłem się przy nim onanizować. On wszystko rozumiał. Wolałem, żeby mnie podziwiał, a nie mi współczuł. Kiedy sobie uświadomiłem, że Chinki i Japonki raczej nie mają długich nóg z racji wzrostu, zmieniłem namiętny szept na *komile saba*. Nie miałem pojęcia, co to mogło znaczyć, ale właśnie o to mi chodziło.

W weekend majowy obchodziłem rocznicę mojego związku z ziemią rajgrodzką. Oczywiście nie sam. Podobnie jak w poprzednim roku, na moje ranczo tłumnie zjechali turyści. Z przejęcia zapomniałem podnieść ceny i wspomnieć o regulaminie, w którym widniał zapis o nieobrzygiwaniu świeżo pomalowanych ścian. Więcej grzechów nie pamiętam.

Potem był jeszcze weekend Bożego Ciała, który formalnie rozpoczął sezon wakacyjny. Fakt, większość młodzieży zaliczała sesje, pisała

egzaminy, ale byli i tacy, którzy zakończyli etap nauki, a pracy jeszcze nie rozpoczęli. To były ich ostatnie prawdziwe wakacje w życiu, choć jeszcze o tym nie wiedzieli. Tego lata sporo czasu spędzałem w barze Smakosz, jak nie jednym, to drugim albo piątym. Mogłem sobie pozwolić na przyzwoite obiady, mogłem z nadzieją patrzeć w przyszłość. Urzekła mnie jedna z kelnerek. Miała co prawda krótkie czarne włosy, nie była zbyt szczupła, ani wysoka, i co najgorsze – mówiła po polsku od urodzenia, ale na tym etapie znajomości klient–obsługa klienta odzywała się tylko służbowo i pięknie się uśmiechała. Uśmiech był prywatny, nie służbowy. Takie rzeczy się czuje, i już. Pierwszy zaczynałem rozmowy, jeszcze w przelocie, niezobowiązujące, ulotne, jednak z poszczególnych słówek i gestów składała mi się jedna coraz wyraźniejsza całość. Miała na imię Milena, była po trzydziestce, sama wychowywała córkę. Znałem ten ból. Urodziła się w Rajgrodzie i tu planowała umrzeć z braku innych możliwości. Oczywiście jeszcze nie teraz, najprędzej za jakieś pięćdziesiąt lat. Wiedziała, w którym miejscu na cmentarzu będzie leżeć. Optymistyczna i ciekawa wizja przyszłości. To mi przypomniało, że najprawdopodobniej mam raka i że zupełnie olałem lekarza. Postanowiłem również zatroszczyć się o życie po śmierci i zarezerwować sobie kwaterę na cmentarzu. Tu pojawił się kolejny dylemat. W Rajgrodzie czy w Warszawie? Tu byłoby zdecydowanie taniej z miejscem pochówku, jednak w Warszawie byłoby logistycznie łatwiej matce i synowi odwiedzać grób. Innych gości się nie spodziewałem. Natychmiast jednak zbeształem się w duchu, że jestem okropnym egoistą, że nie myślę przede wszystkim o sobie. A więc Rajgród. Postanowione. Powinien to zapisać w testamencie czy co? Jeśli nieoczekiwanie umrę, nikt nie będzie wiedział gdzie, bo nikt z rodziny nie zna adresu. Tak, nadal uważają, że oszalałem. Tylko syn przywykł do tej myśli. Jego matka przekonała go, że w razie czego odziedziczy mieszkanie w Warszawie i dom gdzieś tam nad jeziorem. Spoko. Wracając do Mileny, pod koniec lipca zapytałem, czyby się ze mną nie umówiła. *Umówi się. Ale kiedy? Po sezonie.* Wspaniała perspektywa.

Kiedy ciągle pijani studenci zaczęli mnie wkurwiać, zrozumiałem, że proces starzenia gwałtownie przyspieszył. Od ubiegłego roku nic się przecież nie zmieniło w ich stylu spędzania wolnego czasu, jednak coraz trudniej to wszystko znosiłem. Kiedy przyjeżdżała policja na wezwanie upierdliwej sąsiadki, już nie miałem do niej pretensji. Gdyby to coś pomogło, sam zadzwoniłbym pod numer alarmowy. Robiłem dobrą minę do złej gry, byłem w tym przecież świetny. Sporo czasu spędzałem na tak zwanym mieście, razem z Mileną. Najczęściej polegało to na tym, że ona obsługiwała gości, a ja sączyłem jakieś piwo w kącie. To taki rodzaj relacji, który trwał wyłącznie w wyobraźni. Małe miejscowości mają to do siebie, że wszyscy się w nich znają. To znaczy – znają się tubylcy i znają każdego stałego letnika. Ja nie należałem do żadnej z tych grup. Na przynależność do pierwszej jeszcze nie zasłużyłem, do drugiej nie pasowałem. Można więc powiedzieć, że byłem kimś z marginesu, poza nawiasem społeczeństwa, outsiderem, a może nawet degeneratem. Aktualnie nie posiadałem krawata ani garnituru, nie posiadałem nic prócz potencjalnego raka i było mi z tym dobrze. Albo źle. Bywały chwile, kiedy nie umiałem się zdecydować. To nie tak, że tamto moje życie było złe. I nie tak, że obecne było dobre. Na pewno było inne. Bywały momenty, kiedy oddałbym wszystko za to, żeby pokłócić się z synem. Złe wspomnienia się zacierały. Gdyby nie Kundel, mogłoby być naprawdę słabo. Ale w chwilach wątpliwości starałem się pamiętać o najważniejszym: byłem osobną jednostką, swobodnym elektronem, który dostał szansę, żeby wsłuchać się w wewnętrzny głos i zacząć żyć także dla siebie. Już nie uczestniczyłem w wyścigu szczurów, nie miałem szans na medale i podium. Teraz byłem częścią łańcucha życia, obserwatorem. Świat pędził nadal do przodu, a ja stanąłem w miejscu i próbowałem zdecydować, dokąd naprawdę chcę iść. Do tej pory dawałem się nieść przeznaczeniu. Być może nadszedł czas, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Brzmi to bardzo patetycznie, ale zrozumcie mnie, miałem już swoje lata, z których każde mogło być ostatnim. Nie osiągnąłem w życiu nic, z czego byłbym naprawdę

zadowolony. Mieszkanie w Warszawie i rozpadający się dom w Rajgradzie to były trofea, które plasowały mnie niemal na ostatnim miejscu. Syn, krew z mojej krwi, jeśli coś zakumał z tego, co próbowałem mu przez lata wspólnego życia wpoić, być może dobrze rokował, ale o tym przekonamy się w przyszłości, której mogę nie dożyć. Przeszłość miała swoje plusy i minusy. Gdyby nie syn, zapewne już dawno byłbym na dnie. Alkoholizm albo depresja, to najlepsze, co mogłoby mnie spotkać. Ale nie, jak masz dziecko w domu, które polega tylko na tobie, ni chuja, napić się nie możesz i poużalać się nad sobą też. Tamto życie było jałowe, przewidywalne, ale bezpieczne. Nie musiałem myśleć o tych wszystkich filozoficznych dylematach. Teraz nie robiłem nic innego, tylko myślałem. Mieszkałem tu drugi rok, byłem w miarę stabilny finansowo, jednak nadal czułem, że coś z moim życiem jest nie tak. Dlatego ponownie postanowiłem wyremontować dom. Jesień poświęciłem na wymianę dachu, otynkowanie chałupy i gruntowny remont wewnątrz. Oprócz ponownego malowania postanowiłem wymienić podłogi i pozbyć się mebli, na których studenci używali życia. Po zerwaniu linoleum w kuchni moim oczom ukazała się dziwna kłapa. Pokazałem ją Kundlowi, ale jak zwykle nie wykazał większego zainteresowania. Musiałem włożyć sporo wysiłku, żeby ją podnieść. Cóż, nie byłem typem sportowca, a kłapy od lat nie otwierano. Czy poprzedni właściciel wiedział o jej istnieniu? Nie pamiętałem, żeby jakoś szczególnie ubolewał nad sprzedażą domu. Żaden sentyment nie wchodził w rachubę. To na pewno nie był dom jego przodków. Chyba że facet był jeszcze bardziej upośledzony emocjonalnie niż ja. Gdybym był psychopatycznym mordercą, taki schowek pod podłogą bardzo by mi się przydał, ale nie będę oszukiwał – byłem zbyt przeciętny i leniwy, być może nawet zbyt tchórzliwy na jakiegokolwiek odstępstwa od norm społecznych. Po otwarciu kłapy uderzył mnie odór stęchlizny. Na dół prowadziły strome, niemal pionowe schodki. Odszukałem latarkę i tak uzbrojony zszedłem na dół. Kundel stał na warcie i patrzył, jak znikam w ciemnościach. Pomieszczenie pod podłogą miało

jakieś dwa metry na trzy, na podłodze leżał śmierdzący materac, a przy nim stał mały kuchenny stolik i krzesło. I to wszystko. Nie sądzę, żeby ktoś z własnej woli chciał tam siedzieć, chyba że na przykład musiał się ukrywać. Byłem rozczarowany, że nie znalazłem żadnych skarbów. Postanowiłem wynieść gnijące meble na zewnątrz i je spalić. Wiem, że to nieekologiczne, ale przecież nie byłem ideałem. Kiedy opróżniłem tajne pomieszczenie, wróciłem tam ponownie. Czy ta nora mogła mi się jakoś przydać? Zastanawiałem się, czy wymieniając zniszczone deski podłogowe, powinien uwzględnić właz, czy nie. Coś mi mówiło, że mógłbym tę przestrzeń wykorzystać jako rupieciarnię. Na zewnątrz, przy dokładniejszych oględzinach okazało się, że materac jest wypchany słomą. Ucieszyłem się, że paląc go, nie spowoduję katastrofy ekologicznej. Zerwałem ceratę ze stolika i wrzuciłem do kosza. Stolik był niczego sobie, gdyby nie śmierdział, na pewno bym go zatrzymał. Ale kilkadziesiąt lat w zatęchłym pomieszczeniu zrobiło swoje. Wziąłem siekiere i walnąłem. Przewrócił się na trawnik ukazując kolejną niespodziankę. Pod blatem znajdowała się szufladka. Wyjąłem ją i wtedy moim oczom ukazała się szara teczka. Odłożyłem siekiere na bok. Kundel jak zwykle mi asystował. Cóż ja bym począł bez tego psa? Otworzyłem znaleźisko, wewnątrz znajdował się plik pożółkłych papierów, kilka fotografii i jakieś płaskie zawiniątko. Zaniósłem teczkę na taras, dokończyłem rąbanie stołu. Rozpaliłem ognisko, a po jakimś czasie do żaru wrzuciłem kawałki stolika, krzesło i materac. Trochę śmierdziało, ale nie zrażało mnie to. Kolejne tygodnie minęły mi na gruntownym remoncie domu. Wywaliłem wszystkie kołdry, w których urzędowali studenci, każdy niepotrzebny słoik i wazon. Nie powiem, że się nie napracowałem. Wszystko robiłem sam, własnymi rękoma i mimo iż zawsze wydawało mi się, że mam dwie lewe ręce do prac domowych, teraz mogłem się wreszcie przekonać, że przy odrobinie skupienia i cierpliwości, jestem w stanie udźwignąć ten ciężar. To było jak odkrycie Ameryki. Umiałem zrobić dużo więcej, niż sądziłem. Dodatkowo miałem poczucie dobrze wykorzystanego czasu. Znowu byłem

pożyteczny. Pod koniec listopada, kiedy chodzę po moim domu, przepelniało mnie zadowolenie i duma, choć wiedziałem, że żaden student nie pochwali moich wysiłków z tego prostego powodu, że nigdy nie zobaczy efektu. Pewnego wieczoru, kiedy w kominku radośnie trzaskał ogień, a ja sączyłem wyrafinowanego drinka – wódkę z colą, wreszcie sięgnąłem po znaną w szufladzie teczkę. Papier jest ciepły, a wszystko bez napisu „pilne” musi po prostu poczekać. Takie przyzwyczajenie starego urzędnika. Teraz jednak nadszedł czas, a ja chciałem przejrzeć zawartość teczek w skupieniu. Ktoś kiedyś to zgromadził i ukrył. Byłem nieproszonym odbiorcą, ale jedynym, który się napatoczył.

Nie było tego dużo. Niestaranne pismo, które momentami trudno było odczytać. Sporo błędów, ale nie przeszkadzało mi to. Zapomniałem o sobie i o swoim raku. Kundel leżał u moich stóp, czułem jego ciepło. Miarowy oddech wpływał na mnie kojąco. Kiedy skończyłem, otworzyłem z własnej woli laptopa. Zaczęłem czytać o historii miasta. Wciągnęło mnie. Tyle razy chodziłem jego uliczkami i nie miałem pojęcia o wydarzeniach, które się tu rozegrały.

Uporządkujmy kilka faktów. Nie jestem znawcą historii, nie jestem też Bogiem. Mogę mieć jakieś swoje przemyślenia, które wynikają z ubożego doświadczenia życiowego. Nikt z nas nie ma lekko, nawet jak jest piękny i bogaty. Czytam otaczający mnie świat poprzez pryzmat własnej osoby. Już taki jestem zimny drań.

Sowieci wkroczyli do Rajgrodu pod koniec września 1939 roku. Zostali godnie przywitani czerwonym sztandarem. Podobno witała ich grupa rajgrodzkich Żydów. Zorganizowali Rajgród po swojemu. Kilka miesięcy później, na początku lutego 1940 roku, ludność polska i żydowska miała wątpliwą przyjemność pojechać w podróż w jedną stronę. Na Sybir. W tych okrutnych czasach mieszkańcy okupowanych ziem znajdowali wsparcie duchowe, moralne, a także pomoc w działalności konspiracyjnej –

w kościołach. Sowietci nie lubili kościołów i okazywali to poprzez aresztowania, zsyłki i mordy na duchownych. W Rajgrodzie był jeden kościół, a jego proboszcz cieszył się ogromnym szacunkiem wśród mieszkańców. Kiedy został aresztowany, ludność zaczęła obwiniać Żydów, choć nie ma absolutnie żadnego dowodu, że mieli z tym coś wspólnego. Aresztowano zresztą kogo popadnie; w 1940 roku w radzieckich więzieniach przebywało kilkadziesiąt osób z samego Rajgrodu i okolicy. Potem była kolejna deportacja polskiej ludności na Syberię. Ale przyszli Niemcy, traktując ziemie wschodnie jak swoją kolonię, z której trzeba wycisnąć wszystko, co tylko się da. Kierunek wycieczek się zmienił, tym razem na zachód. Ci, którzy zostali, pracowali ponad siły. Pozostawało kwestią czasu, kiedy trzeba będzie zwolnić domostwa i przeprowadzić się do III Rzeszy, ale takie plany miały się pojawić dopiero za dwa lata. Niemcy znali niezłą sztuczkę: odpowiedzialność zbiorową. Ci, którzy próbowali z nimi walczyć, narażali na śmierć resztę społeczności. Morale siadało. Donosicielstwo było na porządku dziennym. Świat oszalał. Jeśli chodzi o Żydów, tuż przed drugą wojną światową w Rajgrodzie mieszkało ich około sześciuset. Nie miałem o tym pojęcia. Po wkroczeniu Niemców wydarzyło się coś, z czego nie jestem dumny. Wersje świadków nieco się różnią. Jedna z nich mówi, że spędzono na rynek kilkadziesiąt osób wyznania mojżeszowego i bito ich do krwi. Relacja Leiba Lewintyna jest wstrząsająca. Na polecenie Niemców kilku Polaków chodziło po domostwach i zmuszało siłą swoich żydowskich sąsiadów do zebrania się na rynku. Wszystkim nakazano rozebrać się do bielizny, a potem maszerować czwórkami po mieście i śpiewać pieśni. Na czele pochodu szła dwudziestosiedmioletnia Żydówka, niosąc czerwony sztandar. Byłem skłonny w to uwierzyć – zgadnijcie dlaczego. Całą akcją zarządzało dwóch esesmanów. Po tym wątpliwym przedstawieniu wyprowadzono pochód dwa kilometry za miasto, do lasu. Nie na piknik. Na śmierć. Lewintyn twierdzi, że zbrodni dokonano w czerwcu 1941 roku. Inne źródło nieco odbiega od tej wersji. Podaje, że Niemcy przybyli do miasteczka

dopiero na początku lipca. Według zeznań jednego z oskarżonych za udział w ludobójstwie – niejakiego Antoniego Lena – krótko po wyjściu Sowietów z Rajgrodu, od strony Augustowa przybył mały oddział niemieckiego wojska. Len został ich tłumaczem. On zapamiętał tamte wydarzenia następująco: około dziesięciu gestapowców, z pomocą miejscowych Polaków, zagoniło na rynek około stu Żydów. Chwilowy polsko-niemiecki sojusz albo strach, albo chęć zemsty, albo głupota, albo chuj wie co sprawiły, że Żydzi, zagonieni na rynek, bici pałkami i kijami, stłoczyli się w grupę. Len miał właśnie przetłumaczyć pozostałym Polakom rozkaz Niemców, żeby wszyscy Polacy wzięli się za ręce i zrobili kółko graniaste. To miał być pierścień, zapora, przez którą żaden Żyd się nie przedrze poza wytyczone rękoma granice. Zanim zdążył otworzyć usta, z tłumu obserwatorów wyszła starsza kobieta. Oskarżyła jednego z Żydów na rynku o wydanie kogoś z jej rodziny Sowietom. Powiedziała o torturach i o chorobie aresztowanego. Polakom nie trzeba było nic więcej. Zamiast łapać się za ręce, rzucili się na Żydów z pięściami. Na rynku zapanował chaos. Wielu z zapędzonych tu uciekło, ale ponownie zrobiono na nich nagonkę. Sprowadzeni drugi raz na rynek zostali odprowadzeni do wspomnianego lasu. Nie na śmierć. Na piknik. Tak właśnie bym sobie życzył, ale to znowu żenujący żart. Len był świadkiem mordu. Wyglądało to tak: jeden z Niemców zastrzelił dwie lub trzy osoby, a potem oddał pistolet Polakowi, który dokończył egzekucję, zabijając około trzydziestu osób. Była jeszcze trzecia wersja, ale proszę, sami sobie ją znajdźcie. Nie ulega wątpliwości, że mord był faktem i że udział Polaków w mordzie jest faktem również. Nie będę szukał powodu i usprawiedliwienia, nie jestem głosem rozsądku ani mędrcom, który wie o świecie wszystko. Grałem tę rolę kilka lat, kiedy syn stale pytał „dlaczego”, ale potem nawet on, kiedy stał się mądrym nastolatkiem, uznał, że na niczym się nie znam i nie mam o życiu zielonego pojęcia. Lubię się trzymać tej wersji, nie tylko dlatego, że jestem starym, złośliwym, rozczarowanym życiem bezrobotnym nieudacznikiem z rakiem. Po mordzie w lesie Polaków zachęcono do

kontynuowania polityki miłości Hitlera; zabijali po cichu, grabili majątki, gwałcili młode Żydówki, pozbywali się starszych i schorowanych Żydów. Dość powiedzieć, że kilku naszych przodków przebrało się za lekarzy i zorganizowali dla Żydów wyjazd do lecznicy w Augustowie. Staruszkowie, którzy postanowili skorzystać z okazji, zakończyli swój żywot nieopodal Rykowej Góry, na polu żyta. Zasztyletowani i zadźgani pewnie leżeliby tam do dzisiaj, gdyby nie litościwi esesmani, którym odór rozkładających się ciał nie pozwalał się delectować okoliczną przyrodą. Polacy musieli zakopać ciała. To było upalne lato. Ale nie bądźmy złośliwi. Oprócz złych Polaków, byli jeszcze inni: obojętni, neutralni, ale byli także ci, których lubimy najbardziej: dobrzy. Kiedy wszystkim znudziły się pogromy, wydzielono getto. Żydów spędzono w okolice synagogi i odizolowano od reszty. I tu ujawniło się dobro. Mieszkańcy Rajgrodu starali się nieść pomoc przetrzymywanym w izolacji. Przemycali żywność, ukrywali zbiegów, chociaż ryzykowali własnym życiem. Wyjście z getta nie było trudne. Żydzi pracowali przy rozbijaniu kamieni przy drodze i nagrobków ich cmentarza. Brukowali drogę Grajewo–Augustów, którą mknie rzesza turystów spragnionych augustowskich nocy. Byli także najmowani przez swoich dotychczasowych sąsiadów do prac w domu i w polu. Rzemieślnicy jeździli „w miasto” wykonywać zlecenia. Uciekali z getta, wykorzystując przepustki, dzięki którym najmowali się do pracy. Dzięki Bogu, że Niemcy mieli wybiórczą pamięć, jeśli chodzi o odpowiedzialność zbiorową. Pod koniec października 1942 roku getto zlikwidowano. Wywieziono zmaltretowanych, wygłodzonych Żydów do obozu przejściowego, a potem prosto, przez Treblinkę, do nieba. Kilku osobom udało się jednak przeżyć piekło, jakie niesie za sobą wojna. Wśród nich być może były dwie dziewczynki, których imiona znalazłem w szarej teczce. Aby się tego dowiedzieć, musiałem jednak włożyć nieco więcej wysiłku. Położyłem się spać, kiedy za oknem szarzało. Słońce wszędzie jak zawsze, odbijając się od zimnej tafli jeziora. Ogień w kominku wygasł, przeszedł mnie dreszcz. Zamknąłem laptopa i wsunąłem

się do łóżka. Kiedyś w Warszawie, jadąc autobusem, widziałem jak pijany legionista zaczepia Afrykańczyka. Nie zrobiłem nic, żeby uspokoić sytuację. Pijany facet szybko przerzucił się na młodego chłopaka, a potem na dziewczynę, która siedziała nieopodal. Szukał zaczepki jak sęp. Uwagę zwróciła mu kobieta w okolicach czterdziestki. Spokojnym głosem, bez odrobiny agresji. Mówiła coś o dobru, a on w odpowiedzi poprosił, żeby obciągnęła mu fiuta. Pokiwała głową i ponownie zaczęła mówić o dobru, które w nim jest. Podczas gdy zajęła jego uwagę, wszyscy zaczepiani szybko przenieśli się na drugi koniec autobusu. Nikt jej nie obronił, kiedy napał na nią i zaczął lizać po policzku. Odepchnęła go, wysiadła. Patrzyłem, jak odchodzi, i żałowałem, że pozostałem obojętny. Trochę wiedziałem, co czuła społeczność rajgrodzka ustawiająca się w pozycji neutralnych obserwatorów. Czuła się chujowo. Nie obwiniałem ich, obwiniałem samego siebie.

Na święta Bożego Narodzenia pojechałem do miasta, w którym mieszkał syn. Zabrałem ze sobą Kundla, który był niezawodnym towarzyszem. Jednak nawet on nie wiedział, że w głowie załęgła mi się myśl, której nie miałem odwagi wypowiedzieć. Dopóki milczałem, mogłem udawać, że ta myśl nie istnieje. Tak, czasami lubiłem się trochę pooszukiwać, tak samo jak uwielbiałem dni, kiedy mogłem się nad sobą rozczułać. Powoli zaczynałem się rozumieć. Jechałem do syna, którego nie widziałem wieki, i byłem tym ogromnie przejęty. Dzięki uprzejmości byłej żony zostałem zaproszony do jej domu na wigilię. To była okazja, żeby znowu się uściskać z byłą teściową. Już się cieszyłem na samą myśl, że wreszcie nie będę czarną owcą w rodzinie. Ten zaszczytny tytuł zapewne przypadł mojemu następcy, obecnemu mężowi byłej. Zimy w tym roku prawie nie było. Jazda upłynęła nam w miłej atmosferze, mimo że w głębi ducha trochę się stresowałem. Najbardziej tym, jak będzie wyglądało spotkanie po latach z ludźmi, którzy kiedyś byli mi bliscy. Jednak naprawdę tęskniłem za młodym, tak jak nigdy. Przez ostatnie tygodnie dużo o nim myślałem. O tym jak się urodził, jak go kąpałem, jak pierwszy raz powiedział *tata*. O niezdarnych próbach

chodzenia, o pierwszym zauroczeniu w przedszkolu, o tym, jak ciężko znosił rozstanie z matką i o ostatnich latach, kiedy mogliśmy się dogadać.

Spotkanie było dobre, naprawdę. Po pierwsze dlatego, że wyrosnięty syn bardzo mnie rozczulił, kiedy na chwilę zapomniał, że jest już prawie dorosły, i rzucił mi się na szyję, a potem trzymał mnie długo w uścisku. Po drugie dlatego, że z satysfakcją zauważyłem, że była żona i jej rodzina bardzo się postarzel. Dla takich chwil warto było żyć. Łamanie się opłatkiem było trochę sztywne, ale przebrnąłem przez to z godnością. Najbardziej współczułem mojemu następcy. Był wychudzony, miał rozbiegane oczy i smutną minę. I pomyśleć, że to mogłem być ja. Jego teściowa po raz pierwszy w życiu była dla mnie naprawdę miła. To mnie rozczuliło. Pomyślałem, że kupię jej piękny wieniec na pogrzeb. Młody nie widział poza mną świata. Po wigilii zamknął się ze mną w pokoju i długo rozmawialiśmy. Trzy razy upewniał się, że w ciągu najbliższego roku zwolni się nasze warszawskie mieszkanie, ale unikałem odpowiedzi. Nie sądziłem, że przeprowadzka i zmiana szkoły miałyby na niego dobry wpływ. Jak zwykle miał inne zdanie, ale też nie chciał się kłócić. Dałem mu do zrozumienia, że zmieniłem swoje życie. Nie mając pracy w Warszawie, nie widziałem sensu, żeby tam wracać. Ale byłem otwarty na to, co przyniesie los. Jednocześnie dopuszczałem myśl, żeby – kiedy po maturze pójdzie na studia – mógł tam wrócić. Chciałem go zmotywować. Był dla mnie najważniejszy. Jednak tuż za nim, na niewiele niższej pozycji w rankingu ważności plasowałem się ja sam. Szala już się przechyliła. Żyłem dłużej, niż mogłbym przypuszczać, mimo ciężkiej choroby czułem się świetnie i po raz pierwszy w życiu postanowiłem zostać twórcą. Jeszcze nikomu tego nie mówiłem; nawet Kundlowi. Po wieczorze wigilijnym grzecznie podziękowałem za zaproszenie na obiad w pierwszy dzień świąt. Musiałem jechać dalej. Oczywiście było to drobne kłamstwo. Nic nie musiałem. Ale skoro już wyrwałem się w świat, chciałem przebrnąć przez drugi trudny punkt programu: matkę. Miała już swoje lata, nie powinienem jej źle traktować.

Największy wkurw z powodu mojej przeprowadzki już jej przeszedł. Przeczekałem falę obrażenia, smutku i żalu za niespełnione nadzieje. Teraz po prostu tęskniła i ja też, choć wiedziałem, że bez pretensji się nie obędzie. Cóż, zamiast siedzieć przy stole i rozpychać sobie żołądek, postanowiłem zrobić coś dobrego. Po wigilii wróciłem do motelu, który zarezerwowałem wcześniej przez Internet. Położyłem się spać. Rano, po niespiesznym śniadaniu i wyprowadzeniu psa, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wiem, byłem egoistycznym dupkiem. Nie zasługiwałem ani na miano syna, ani tym bardziej ojca. Odstawiłem bliskich na dwa lata. Domyślam się, jak musieli się o mnie martwić, ale do tej pory miałem na to naprawdę wyjebane. Święta, te wszystkie sentymentalne piosenki w radio, kolorowe choinki w oknach przypomniały mi własne dzieciństwo i uświadomiły miejsce w łańcuchu życia. Trwałem w nim wiele lat, zanim wyrwałem się do Rajgrodu. Musiałem go zerwać, żeby dobrowolnie do niego wrócić. Na razie tylko na chwilę. Nadal potrzebowałem czasu, żeby uwierzyć w moc własnego ogniwa. Dobrze było znów być w domu. Przejeżdżałem przez Warszawę pełen ambiwalentnych uczuć. Dobrze było zobaczyć stare kąty, ale z perspektywą szybkiego ich opuszczenia. Przejechałem przez miasto. Rodzice nigdy nie dali się namówić na przeprowadzkę do stolicy. Mieszkali pięćdziesiąt kilometrów od metropolii, co było odległością w miarę bezpieczną. Miałem ich pod ręką, kiedy potrzebowałem, musiałem się również liczyć z nalotami w najmniej spodziewanych chwilach. Matka miała fioła na punkcie zdrowego stylu życia. Nie przyjmowała jednak do wiadomości żadnych nowinek medycznych. Tradycja i zgoda z naturą, to było jej motto. Nagle się zląkłem. Czy wyprowadzając się do Rajgrodu, nie upodabniałem się do rodzicielki? Oczyma wyobraźni ujrzałem przyszłość: dzwoni do mnie dorosły, mądry, dojrzały syn, żeby zaprosić mnie na święta, a ja chodząc po rajgrodzkich polach i myśląc o tym, że trzeba Dziecku przywieźć jakąś wałówkę, pytam: *to co, narwać ci mlecza i pokrzyw?* To odkrycie rozbawiło mnie i przestraszyło. Może dlatego, że miałem

świadomość zbyt szybko upływającego czasu, może dlatego, że na chwilę zapomniałem, że przecież mam raka i nigdy nie dożyję chwili, kiedy syn będzie dojrzały i dorosły. Po trzecie dlatego, że ogarnął mnie żal. W końcu zdziwiła mnie jeszcze jedna sprawa: że myśląc o przyszłości, nadal widziałem się w Rajgrodzie. Czyżbym znalazł swój port? Na miejsce zajechałem celowo pod wieczór. Chciałem, żeby wszyscy potencjalni goście albo byli już nawaleni, albo najlepiej sobie poszli. Nie byłem przygotowany na składanie dokładnych relacji i zeznań, ani tym bardziej na obcałowywanie się z wujami. Zgodnie z moimi przewidywaniami ojciec spał przed telewizorem, a matka ogarniała kuchnię. Nie spodziewałem się, że tak bardzo wzruszy ją niespodziewana wizyta i że jeszcze bardziej wzruszy mnie. Kundel zachował się z klasą. Nie odstępował mnie na krok i spokojnie obserwował rozwój wydarzeń. Teraz ja przez chwilę byłem własnym synem. Rzuciłem się мамie na szyję, mocno ją przytulając. Potem dostałem jakies ziółka, na stół wyjechała wędlna własnej roboty i sałatka warzywna z ekologicznych warzyw z ogrodu. Dobrze było wrócić, przez sekundę udawać, że cofnęło się czas i że jeszcze można zacząć wszystko od nowa. Matka trajkotała bezustannie, opowiadając o jakichś błahych wydarzeniach ze wsi, i tak było dobrze. Nie chciałem pytać, na które nie znałem odpowiedzi. Przebudził się ojciec, był tak samo zaskoczony wizytą jak matka. Początkowo planowałem nazajutrz rano wyruszyć w podróż powrotną, ale zrobiło mi się żal tej chwili. Postanowiłem zostać na cały drugi dzień świąt i wyjechać, dopiero jak się skończą. Nie będę wchodził w szczegóły, jak minął mi kolejny dzień. Sami wiecie, jak to wszystko wygląda. Dość powiedzieć, że kiedy po świątach żegnałem się z rodzicami, obiecałem nam wszystkim, że będę pojawiał się częściej. To niesamowite, jak człowiek łatwo zapomina o rzeczach, które są częścią naszego życia. Ja zapomniałem, że w godzinach porannych na drogach wlotowych do stolicy trzeba odstać swoje w korku. Ale przecież nigdzie mi się nie spieszyło. Słuchałem lejących w radiu kolęd i wspominałem spotkanie z najbliższymi.

To były dobre święta. Po przejechaniu zaledwie kilometra w ciągu godziny nastrój świąteczny prysnął, ale jeszcze robiłem dobrą minę do złej gry. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że przy wyjeździe z miasta będzie o wiele lepiej. Nie wiem, co mnie tknęło, to był impuls albo taktyka podświadomości. Zadzwoiłem do lekarza, mając nadzieję, że gość jest na drugim końcu świata na wyjeździe świąteczno-noworocznym. Gdyby jednak nie był, na pewno miał nadkomplet pacjentów i nawet nie odbierze telefonu. Tym samym byłbym usprawiedliwiony sam przed sobą, że przynajmniej próbowałem. Niestety okazało się, że gość nie wyjechał, zrobiło mu się spore okienko i z przyjemnością mnie przyjmie. Wiwat prywatna praktyka lekarska. Godzinę później podjechałem pod prywatną przychodnię, odhaczyłem się w recepcji i zapukałem do drzwi gabinetu. Siedział za biurkiem, zadowolony. Mogłem się założyć, że z przyjemnością nakłamał żonie, że musi być od rana w pracy, żeby mieć możliwość wstania od stołu po dwóch dniach. Czasami człowiek naprawdę potrzebuje odpocząć. Moja wizyta go ucieszyła. Znaliśmy się od lat. Był naszym lekarzem rodzinnym i miałem do niego pełne zaufanie. Zajrzał do karty choroby, z niedowierzaniem pokiwał głową, a potem mnie zbadał i wysłał do laboratorium. Kiedy wróciłem do gabinetu, próbował coś mówić o lekkomyślności, ale po chwili machnął ręką. Tak, miałem się tu stawić dwa lata temu. Tak, miałem złe wyniki, należało powtórzyć badania. Tak, jestem tchórzem, ale jeszcze żyję, więc o co chodzi? Nie chciałem zniknąć po raz kolejny bez słowa. Powiedziałem uczciwie, jak jest. Że się przeprowadziłem i nie bywam w mieście. To go uspokoiło. Umówiliśmy się, że zadzwonię do niego po sylwestrze, żeby się dowiedzieć o wyniki badań. Życzyłem mu dobrego Nowego Roku i poszedłem uregulować należność za wizytę i badania laboratoryjne. Wróciłem do auta. Kundel patrzył na mnie z wyrzutem. Pomyślałem, że źle zrobiłem, nie zmieniając mu imienia. Imię wpływa na naszą osobowość, jest ciężarem, który identyfikuje nas całe życie. Wiedziałem, że teraz na zmianę było za późno. Mógłbym do niego mówić

„kochanie”, ale trochę nie wypadało. Jednak coś musiałem zrobić. Postanowiłem częściej nazywać go pieszczotliwie „pieskiem”.

Chasia i Esterka. Tak miały mieć na imię dwie dziewczynki, które urodziły się na początku 1942 roku w tajnej piwniczce pod moją kuchnią. Ich matka miała wtedy zaledwie siedemnaście lat. Miała na imię Sara. Sprawdziłem w Google’u. Sara znaczy księżniczka. Tego dnia wyszła z getta, nie wiedziałem, jak się jej to udało, ale postanowiłem to sprawdzić. Na jednej z pożółkłych kartek znalezionych w piwnicy był list. Bardzo dramatyczny. Nie miał adresata, więc równie dobrze mogę przyjąć, że pisano go do mnie.

„17 stycznia 1942 roku do moich drzwi zapukała Sara. Była zmarznięta, wystraszona. Wyszła z getta, żeby dokończyć poprawki krawieckie u jednego z gospodarzy. Kiedy wracała do getta, odeszły jej wody. Obawiając się o los dziecka, zamiast zgłosić się do miejscowego lekarza, przyszła do mnie. *Nie mogę skazać go na śmierć, jaka by ze mnie była matka?*, powiedziała, wskazując na brzuch. Jestem już w wieku, w którym człowiek nie boi się niczego. Co miałam przeżyć, przeżyłam. Sara była w wieku mojej wnuczki Heleny, która zginęła na początku wojny. Poród Sary był trudny. Chciałam wezwać pomoc medyczną, ale Sara nie pozwoliła. *Wszystko w rękach naszego Boga*, powiedziała. Ona miała innego Boga niż ja, ale myślę, że w tej chwili zwracała się do nich obu. Wykrwawiła się w ciągu trzech dób, wcześniej wydając na świat dwie słabowite córki. *Chasia i Esterka, dzieci Noego*, powiedziała, zanim umarła. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co zrobić z ciałem Sary. Sąsiadom nie mogłam ufać, na wyprawę na żydowski cmentarz nie miałam warunków i sił. Jestem zbyt stara, żeby pokonać wszystkie przeszkody. Zajęłam się dziewczynkami. Były w dobrym stanie jak na warunki, w którym przyszło im się urodzić. Włożyłam ciało Sary do drewnianej skrzyni, którą dostaliśmy z moim świętej pamięci mężem na prezent ślubny. Rano zostawiłam dzieci z ciałem matki pod podłogą i poszłam do wikarego. Poprosiłam go o pomoc. Furmanka przyjechała jeszcze tego samego dnia, zabrała skrzynię. Pochował ją w tej skrzyni, na

swoim cmentarzu. To wszystko, co mógł dla niej zrobić. Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy odszukać w getcie jej bliskich, ale zrezygnowaliśmy. Jeśli chcieliśmy uratować dzieci, nikt nie mógł się o nich dowiedzieć. Wikary zarejestrował dzieci w naszej księdze urodzeń, z różnymi datami urodzenia. Dostały na imię Helena i Elżbieta. Zostawiono puste miejsce na nazwiska. Tę historię spisał wikariusz na poświadczenie tego, co się stało. Jeśli świat ocaleje i kto dobry znajdzie ten list, proszony jest o odnalezienie sióstr w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen”.

Teraz rozumiecie, dlaczego czułem się troszkę skołowany. Po takiej historii każdy by zgłupiał i pojechał ścisnąć się z synem, ojcem czy lekarzem. Potem zapiski, zrobione przez wikarego na prośbę pani Anny, zrobiły się jeszcze ciekawsze. Pani Anna za symboliczną sumę sprzedała dom. Właściwie „sprzedała” to złe określenie. Przepisała go na innego gospodarza za obietnicę mleka od krowy, jedzenia i możliwość dożywotniego mieszkania w rodzinnym domu. Zrobiła niezły interes. Z zapisków księdza wynikało, że nie dożyła końca wojny. Wikary swoimi boskimi kanałami znalazł dwie rodziny, które zgodziły się zaadoptować dzieci. Rodziny nie wiedziały o sobie wzajemnie. Wszystko było trzymane w tajemnicy. Obie Polki udawały przez kilka miesięcy, że są w ciąży. Obie zabrały dzieci w kilkutygodniowym odstępie. Jedno dostało nazwisko Kozłowska, drugie Głowacz. Takie nazwiska dopisano bliźniaczkom w parafialnej księdze urodzeń. Nie był znany dalszy los dzieci. Na pozostałych kartkach wikariusz odnotowywał wiele drobnych szczegółów dotyczących przybranych rodziców, które mogłyby w przyszłości pomóc w identyfikacji. Nie udało mu się dowiedzieć, kto był prawdziwym ojcem dziewczynek. Jeszcze po ich oddaniu wikariusz opiekował się panią Anną. Nie było jej łatwo. Na starość, przez krótką chwilę, dane jej było znowu poczuć się matką, znosić radosną udrękę wstawania w nocy, karmienia i prania szmat, którymi owijała dziewczynki. Znowu czuła się potrzebna, nabrała jakiejś przedziwnej energii i radości. Jestem pewien, że gospodarz, który przejął od niej dom, był tym

nieźle przestraszony. Kiedy kobiecie odebrano dziewczynki, zgasła. Któregoś dnia po prostu podczas snu umarła i to była dobra śmierć, najlepsza jaką można sobie wymarzyć. W tamtych czasach rzadko kto miał taki luksus. Znalazł ją wikary, kiedy jak zwykle, co tydzień, przyszedł w odwiedzin. Dokończył swoje zapiski, potem uprzątnął ślady obecności dzieci, zamknął klapę w podłodze, i zrobił przemeblowanie, ustawiając nad wejściem szafę. Nie sądziłem, żeby ktoś przede mną to znalazł. Miałem teraz problem, zagadkę, do rozwiązania. Nie wiedziałem, jak się do niej zabrać, ale podobnie jak pani Anna, poczułem przypływ energii do działania. Były różne warianty zakończenia tej historii. Optymistyczna – mogłem się niczego nie dowiedzieć. Umiarkowana – mogłem czegoś tam się dowiedzieć, na przykład, że którejś z dziewczynek udało się przeżyć, ale zmarła ze starości. Pesymistyczna – że przeżyły obie i czekają, aż je połączę. Z wszystkich trzech wolałem tę ostatnią, choć wydawała mi się mało prawdopodobna. Byłem realistą, ale czasem grywałem w totka. Jednak ta ostatnia wersja, mimo że zajęłaby mi mnóstwo mojego drogiego czasu (musiałbym ograniczyć wizyty w barze Smakosz), dałaby mi możliwość sprawdzenia się. Już się nie katowałem wspomnieniem mojej pracy w urzędzie, jednak gdzieś w głębi serca cały czas czułem, że moja ambicja jest bardzo zraniona. Tak, znałem te wszystkie mechanizmy, które doprowadziły do tej sytuacji, tak, rozumiałem otaczający mnie świat, tak, byłem zadufanym w sobie dupkiem. Ale chciałem sobie coś udowodnić. Nie im, tylko sobie. Nie będę ściemniał, że chciałem ulepszać świat. W takim gównianym się urodziłem i nie miałem ochoty ginąć na barykadach zmian. Lubiłem o sobie myśleć, że wreszcie stałem się zajebistym skurwielem, niezależnym od nikogo. Ale coś mnie ruszało. Urażona ambicja, wspomnienie marzeń, podziw dla tych, którzy ponosili ofiary w przeszłości albo chuj wie co. Może nie chciałem być obserwatorem na rajgrodzkim rynku, czułem energię do działania. Tak oto narodził się mój nowy bohater, ja.

W sylwestra wreszcie bzyknąłem się z Mileną. Byłem z siebie dumny, że

nie skończyłem po trzydziestu sekundach, ale to zasługa prawej ręki, która rozładowała napięcie przed prywatką. Zrobiliśmy to w niekomfortowych warunkach, zupełnie jak uczniaki. Aż dziw, że miała ze sobą prezerwatywę, bo ja już dawno porzuciłem wszelkie nadzieje. Zdaje się, że moje przywiezione podczas przeprowadzki prezerwatywy pół roku temu się przeterminowały. Po pospiesznym seksie w cudzej sypialni wróciliśmy do mocno podpitego towarzystwa. Sami też nie byliśmy trzeźwi, co nawet mi pasowało. Byłem z kobietą, nie składałem żadnych deklaracji, nie musiałem się bawić w żadne romantyczne dyrdymały. Może nawet bym trochę poudawał, gdybym pamiętał, że tak wypada. Ale nie pamiętałem. Dawno tego nie ćwiczyłem i jeszcze dawniej przestałem wierzyć w miłość inną niż przymusową, bo uwarunkowaną więzami krwi. To mi przypomniało o zadaniu, które sobie wyznaczyłem. Więzy krwi. Czy miałem prawo ingerować w czyjeś poukładane życie i wywrócić je do góry nogami tylko po to, żeby wszystko poustawiać na swoim miejscu? Może nie miałem takiego prawa. To był mój psi obowiązek. Poza tym byłem mężczyzną, pierwszy raz od dawna, i to też zobowiązywało. Odprowadziłem Milenę do domu. Nie pamiętam, co mówiła po drodze. Byłem zajęty własnymi myślami. Pod furtką cmoknęła mnie w policzek. Po bratersku poklepałem ją po ramieniu. Prawdziwy mistrz w okazywaniu uczuć.

Ta wiosna była pierwszą od wielu, wielu lat, kiedy każdym porem w ciele czułem rozkwitające życie. Nie muszę chyba dodawać, że ani po sylwestrze, ani później nie zadzwoniłem do lekarza? Przez długi czas bałem się również pójść do baru Smakosz, ale jak się okazało, mój lęk był niczym nie uzasadniony. Milena nie próbowała szukać ze mną kontaktu po sylwestrowej nocy. Przy pierwszej konfrontacji w postaci zamówienia schabowego zachowała się bardzo profesjonalnie. Nie było żadnych wymówek ani nawet strzelania oczami. Zachowała się jak człowiek. Zamknęła ten rozdział raz na zawsze. Jeśli nawet coś sobie po drodze wyobrażała, nie dała mi tego odczuć. Zacząłem wierzyć w ludzi. To mi bardzo odpowiadało, przede wszystkim ze

względu na schabowe, które smakowały mi najbardziej właśnie w barze, w którym pracowała. Mnie czasem chodziła po głowie chęć zacieśnienia kontaktu seksualnego, ale byłem zbyt mądry, żeby się łudzić, że to nie przyniosłoby żadnych strat. Zachowałem się więc rozsądnie. Nadal sporo paliłem, nadal musiałem pisać nieszczęsne wnioski o dofinansowania z Unii Europejskiej, utrzymywałem kontakt z matką i synem, i nadal próbowałem wykombinować, jak zabrać się do sprawy z piwnicy. Pewnego dnia, kiedy robiłem setny audyt w rozkwitającym ogrodzie, przyszedł mi do głowy niezły pomysł. Miałem już za sobą jakieś drobne próby wyszukiwania informacji w Internecie, ale nawet mój największy autorytet, pan Google, nie radził sobie z odpowiedzią. Cóż, mógł tego nie pamiętać, z tej racji, że historia miała miejsce na długo przed jego urodzeniem. Wyszukiwanie imienne obu dziewczyn nie przyniosło żadnych skutków. Jeśli udało im się przeżyć, prawdopodobnie pozmiały nazwiska. Przetrzałem fora internetowe, natrafiłem na kilka ciekawych adresów, które mogły mnie poprowadzić dalej. Napisałem kilkanaście maili z prośbą o pomoc w szukaniu. Na wszystkie dostałem odpowiedzi odmowne. Nikt nic nie wiedział albo nie chciał mi powiedzieć. Utknąłem w miejscu. Kiedy chodziłem po ogrodzie, przypomniało mi się, że przecież pełniłem kiedyś ważną funkcję. Lata w administracji sprawiły, że poznałem wielu innych dyrektorów w ościennych instytucjach. Cóż, nie byli moimi przyjaciółmi, z nikim nie utrzymywałem kontaktu, być może wielu z nich podzieliło mój los. Ale w komórce miałem ich numery telefonów i uznałem, że warto spróbować. Minęło już dużo czasu od mojego odejścia, nikt z nich nie będzie myślał, że dzwonię do nich w sprawie nowej pracy. Powinni odebrać. To był dobry pomysł. Rozpuściłem wici, podałem dane. Nie musiałem wchodzić w szczegóły. One nikogo nie interesowały. Na odpowiedź czekałem stosunkowo długo; prawie półtora miesiąca. Lato zbliżało się wielkimi krokami. W tym roku nikomu nie wynająłem pokoju w Rajgrodzie. Kończyła się umowa najmu mieszkania w Warszawie, mieszkająca w nim rodzina

poprosiła o możliwość przedłużenia jej na kolejne dwa lata. Zależało im na zachowaniu niskiej ceny wynajmu. Zgodziłem się pod warunkiem opłaty z góry. Szybko doszliśmy do porozumienia. Umowę o przedłużeniu załatwiliśmy korespondencyjnie. Z powodu raka bardzo mi zależało, żeby nie zostawiać po sobie większego bałaganu. Jak już powiedziałem, pierwsze informacje z urzędów spłynęły do mnie po niespełna dwóch miesiącach. Koledzy z dawnej pracy wykazali się inwencją i poprzez placówki swoich resortów zdobyli informacje szersze, niż oczekiwałem. To mi dało zastrzyk energii. Czy mówiłem już, że obok imion w parafialnej księdze urodzeń dzielny wikariusz wpisał też nazwiska przybranych rodziców dziewczynek i zafundował im różniące się o kilka dni daty urodzenia? Mając w ręku ten trop, byłem nawet u miejscowego księdza, który pozwolił mi zajrzeć do odpowiedniej księgi. Wszystko się zgadzało. Wikariusz naprawdę nieźle to wymyślił: rozdzielił dzieci, ale zostawił rzetelne informacje, które dawały dużą szansę na odnalezienie kobiet, żywych czy martwych. Pierwsza z nich, Helena Kozłowska, czyli Chasia, została zabrana przez rodzinę do Szwecji. Mieszkała w Karlskronie, przynajmniej przez większość życia. Nigdy nie wyszła za mąż. Nie były znane inne szczegóły dotyczące jej losów. Konsul ze Szwecji przekazał informację, że trzy lata temu kobieta sprzedała mieszkanie i wyjechała w nieznanym kierunku. Miałem więc adres, który był już nieaktualny, ale nadal był moim jedynym punktem zaczepienia. Druga z sióstr, Elżbieta Głowacz, została wywieziona do USA. Wyszła za mąż i żyła obecnie w San Diego pod nazwiskiem Elizabeth Pitt. Czy muszę dodawać, że miałem jej aktualny adres? Szansa, że obie nadal żyły, podniosła mnie na duchu. Z nowo zebranymi informacjami udałem się do Google'a. Wyniki były jednak niejednoznaczne. Zacząłem od Elżbiety. Zawęziłem zakres wyszukiwań do obszaru miasta, w którym prawdopodobnie nadal mieszkała. Nic nie znalazłem. Potem pomyślałem, że jeśli kobieta ma teraz siedemdziesiąt pięć lat, to jest małe prawdopodobieństwo, że siedzi na Facebooku. Ale jeśli miała męża, być może miała również dzieci i wnuki.

Pierwszy raz od lat zalogowałem się na swoje konto. O dziwo, miałem kilka zaproszeń do grona znajomych. Wśród nich jedno od mojego syna. Ucieszyło mnie to. Kilka lat wcześniej z hukiem wyrzucił mnie z grona znajomych, usuwając równocześnie wszystkie ciotki i pełnoletnich kuzynów. Ja i ciotki byliśmy wtedy „obciachem”, a kuzyni mogli być „konfidentami”. Syn dorastał albo szukał ze mną dodatkowego kontaktu. Oczywiście przyjąłem zaproszenie i przez kilka godzin przetrząsałem dokładnie jego profil. Ze zdziwieniem odkryłem, że kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem w Warszawie, zdarzały się historie, o których nie miałem bladego pojęcia. Jak na przykład ta, kiedy wybrał się z kolegą spod Warszawy na koncert w jednym z klubów dla nastolatków. Zapamiętałem to dokładnie, bo ten chłopiec tylko raz u nas nocował. Po koncercie przywiozła ich do domu taksówka, zamknęli się w pokoju i do późna grali na playstation. Byli cicho. Ja spałem za ścianą przy szemrającym telewizorze. Jakież było moje zdziwienie, kiedy teraz odkryłem, że z tej nocy widnieje zdjęcie, na którym obaj chłopcy piją wino i palą papierosy. „Melanż w Warszawie”, podpisano. Naprawdę szkoda, że nie wiedziałem. Chętnie bym do nich wtedy dołączył. Po przetrząśnięciu strony zauważyłem, że moje dziecko integruje się w nowym środowisku. Nie zmienił stylu: zakapturzony, ze słuchawkami w uszach, zbuntowany. Wśród młodych ludzi, których nie znałem. Z papierosem w ustach, o który już nie musiałem z nim walczyć. To było teraz zadanie matki. Dopiero kiedy wszystko przejrzałem, zacząłem poszukiwać krewnych Elizabeth Pitt. Trochę mi zeszło, jakiś dzień czy dwa; zaglądałem na profile, analizowałem, kalkulowałem, do kogo najlepiej napisać. W końcu padło na trzydziestoletnią Brendę Pitt, mieszkającą w San Diego. Pomyślałem, że z nią najszybciej znajdę wspólny język. Napisałem do niej lakoniczną wiadomość. Że szukam Elizabeth Pitt i możliwości skontaktowania się z nią. Że mam informacje dotyczące jej przeszłości z czasów drugiej wojny światowej. Zarzuciłem haczyk. Teraz pozostawało tylko czekać. W ciągu kolejnych dwóch dni bezsensownie, jak jakiś nastolatek, logowałem się na fejsa co kilkanaście

minut. Przez pierwsze dni nic się nie działo. Setki razy czytałem moją wiadomość. Pod względem językowym było okej. Nieźle znałem angielski. Zastanawiałem się, dlaczego nie odpowiada. Już wiedziałem, że wiadomość została odczytana. To dobrze. Ale nie było żadnej odpowiedzi. To niedobrze. Błagam, nie bierzcie mnie za kogoś, kto próbuje znaleźć sobie rodzinę w Stanach. Wreszcie odpowiedź nadeszła. *Drogi Panie, Elizabeth Pitt wie wszystko o swojej przeszłości. Dziękuję za wiadomość.*

Thank you. I am okay. Siedziałem przed laptopem i patrzyłem w ekran. Czy mogłem odpuścić w takiej chwili? Napisałem więc jeszcze raz:

Nie zamierzam się narzucać, jednak w księgach parafialnych znalazłem wpis dotyczący Pani Elizabeth. Z posiadanych przeze mnie informacji, które mogę przekazać wyłącznie jej, wynika, że historia jest dużo bardziej skomplikowana, niż można się tego spodziewać. Jestem w posiadaniu domu, podczas remontowania którego natrafiłem na bardzo ciekawe informacje. Jestem gotów się nimi podzielić, ale wyłącznie z Panią Elizabeth. Pozdrawiam serdecznie.

Tym razem na odpowiedź nie czekałem długo.

Drogi Panie, jestem siostrzenicą Elizabeth. Moja ciotka jest specyficzną osobą, trudno nawiązuje kontakty z obcymi. Razem z jej młodszym bratem, moim ojcem uznaliśmy, że nie należy jej niepokoić z uwagi na pogarszający się stan zdrowia. Przysłany przez Pana skan dokumentu wprowadza pewien chaos. Historia naszej rodziny jest nieskomplikowana i w pełni udokumentowana. Jednak w tej sytuacji nie możemy zbagatelizować przysłanego dokumentu. Odezwiemy się.

I dwa dni później:

Drogi Panie, z naszych ustaleń poczynionych u proboszcza parafii wynika, że ma Pan absolutną rację i że taki wpis istnieje. Prosimy o przekazanie pozostałych informacji.

Droga Pani, niektórym zdarzeniom trzeba pozwolić się zadziać. Proszę o możliwość kontaktu telefonicznego z Pani ciotką, Pani ojcem, Panią albo Pani psem.

Podałem numer telefonu. Zdaje się, że wpis o psie uraził moją przyjaciółkę ze Stanów, ale miałem to w dupie. Staralem się, naprawdę. Byłem przekonany, że nie uda mi odnaleźć żadnej z bliźniaczek, a kiedy pokonałem tę przeszkodę i byłem niemal na mecie, nogę podkładała mi jej rodzina. To zrozumiałe. Bali się, że jakiś cwaniak zagarnie ich potencjalny spadek. Cóż, nie o to mi chodziło. Byłem chodzącym aniołem, chwilowo bogatszym niż zwykle z powodu przelewu za wynajem mieszkania. Chciałem być twórcą mostu, malarzem krajobrazu. Święty mimo woli. Gówniane metafory, ale lepsze nie przychodziły mi wtedy do głowy.

Oddzwonił ojciec Brendy. Rozmowa była radosna. *Okay, okay.* I nie wynikało z niej nic. Postanowiłem nie puścić pary z ust na temat tego, co wiedziałem. Pewnie gdyby zadzwonił pies, powiedziałbym mu wszystko. Teraz jednak uparłem się, że wszystko mogę przekazać wyłącznie Elizabeth. W końcu zaczął mówić jak człowiek. Od razu poznałem, że płynie w nim polska krew. Zaczął narzekać, że starsza siostra całe życie była specyficznym człowiekiem. Że nie pamięta życia w Polsce. Skryta, depresyjna, jakby jej czegoś brakowało. Pustkę zasłoniła trochę córka, ale jej nie wypełniła. Z biegiem lat jej zły nastrój zaczął dominować. Brała leki antydepresyjne. Izolowała się od ludzi. Nikt nie miałby odwagi dokładać jej nowych zmartwień.

Gorączkowo myślałem. Jeśli babka izoluje się nawet od rodziny, to znaczy, że nie zechce pogadać z obcym. Nawet gdybym spał tyłek i poleciał do Stanów, mógłbym wprowadzić jeszcze większy chaos. Poza tym było lato, miałem Kundla i nie zamierzałem wydawać na bilet kasy, za którą spokojnie przeżyję przez miesiąc albo dwa. Zapytałem gościa, czy kiedyś byli w Polsce. *Tak, kilka razy byliśmy w Warszawie i w Krakowie.* Wtedy przyszedł mi do

głowy szalony pomysł. Jeśli kobieta jest w depresji, to trzeba, żeby zmieniła środowisko. Jeśli izoluje się od rodziny, to trzeba tak zaplanować wszystko, żeby nie mogła od tej rodziny uciec. W Stanach była u siebie, Stany były duże, tam nie mieli żadnych szans.

Oczywiście Polska też nie jest mała, nie mamy kompleksów, jednak na obcym terytorium babka byłaby skazana na spędzanie czasu z bliskimi, nawet gdyby nie miała na to ochoty. W Rajgrodzie ze swoją depresją mogłaby uciec co najwyżej w krzaki. Cóż, jeśli za bardzo zajdą jej za skórę, najwyżej wszystkich wydziedziczy.

Był zaskoczony, ale nie powiedział nie. Obiecał zadzwonić za jakiś czas. Chwilowo mogłem się zająć innymi sprawami. Wróciłem do starszej bliźniaczki. Ale nie udało mi się natrafić na jej ślad. Pozostało mi jedno. Kupiłem jednoosobową kajutę na Stena Line, pojechałem do Gdyni i ruszyłem promem do Karlskrony. Już na pokładzie naszły mnie wątpliwości, czy to był mądry pomysł, ale nie umiałem dobrze pływać, więc nie było sensu zawracać. Wieczór spędziłem w barze, sącząc jakiegoś drinka. Myślałem o Kundlu, że po raz pierwszy zostawiłem go samego w domu. Miałem nadzieję, że będę miał do kogo wracać. Tej nocy spałem jak zabity. Obudziła mnie piosenka Roda Stewarta *I am Sailing* z głośnika zamontowanego nad wejściem do kajuty. Wziąłem szybki orzeźwiający prysznic i poszedłem na górny pokład oglądać port z perspektywy morza. Nic mnie szczególnie nie zachwyciło. Jako jeden z pierwszych zszedłem na ląd. Znalazłem przystanek autobusowy. Po mniej więcej pięćdziesięciu minutach jazdy byłem w centrum. Miałem szczęście. Miasteczko Karlskrona jest rozrzucone na wielu małych wysepkach, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Doczytałem o tym już o wiele później, po powrocie. Jednak adres, który zdobył dla mnie mój kolega dyrektor, mieścił się trzy kilometry od centrum. Miałem cały dzień na poszukiwania. Postanowiłem zacząć natychmiast po śniadaniu. Na uroczym rynku zjadłem kanapkę. Gorąca kawa dodała mi sił. Byłem gotowy na ostateczną rozgrywkę. Kiedy dotarłem do celu,

znajdowałem się przed uroczym domkiem. Miałem szczęście. Domek to nie blok. Sąsiedzi powinni się znać. Powinni coś o sobie wiedzieć. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Zapukałem do drzwi. Niestety nikogo nie było w domu. Jasne. Jest dzień roboczy, wszyscy normalni ludzie chodzą do pracy. Zapukałem do drzwi sąsiada. Otworzył chudy staruszek. Przywitałem się po angielsku, ale widać było, że będzie problem z porozumieniem się. Niestety w szkole nie uczyli mnie szwedzkiego. Spróbowałem po rosyjsku, ale bez efektu. Pokazałem mu kartkę z nazwiskiem byłej sąsiadki. Helena Kozłowska. Potakująco kiwnął głową. *Friend*, powiedział. Dzięki Bogu! Należało szybko znaleźć jakiegoś tłumacza. Na przykład mojego najlepszego druha zaraz po Kundlu. Tłumacza Google'a. *Szukam* przetłumaczyłem na szwedzki i pokazałem mu wyświetlacz telefonu. Cofnął się do domu. Hmm. Po chwili wyszedł z okularami na nosie. *Szukam pani Heleny, jestem z Polski*, pokazałem całe przetłumaczone zdanie. Wskazał ręką w niewiadomym kierunku. Tak jakby rozplynęła się we mgle. *Poland*, powiedział. *Tak, jestem z Polski*, potwierdziłem mu. *Poland*, powtórzył, *tak, z Polski*, powtórzyłem ponownie, próbując nie okazywać irytacji. *Helena Poland*, uściślił. Zrozumiałem. *Wyjechała do Polski?*, napisałem w tłumaczu i pokazałem mu wyświetlacz. *Tak*, odpowiedział. *Czy wie Pan do jakiego miasta?*, napisałem. Rozłożył ręce. Zrozumiałem. Nieźle, pomyślałem zgryźliwie, zaczynam rozumieć po szwedzku. *Warszawa?*, zadałem pytanie dodatkowe. *Zaprzeczenie. Kraków?* Nie rozumiał. *Pcim Dolny?* Mogłem tak wymieniać do końca świata. Nic z tego nie będzie. Co mogłem jeszcze zrobić? Wyjąłem z kieszeni stary paragon, na odwrocie napisałem swoje imię i nazwisko, numer telefonu. Wziął, schował do kieszeni. *To ważne*, napisałem na końcu. *To naprawdę ważne*.

Resztę dnia spędziłem, włócząc się po mieście. Odwiedziłem kościół na rynku, zajrzałem do pobliskiego muzeum. Siedziała tam kilkuosobowa banda z Polski, na stoliku stało kilkanaście pustych butelek po winach. Nie wyglądali na studentów, pomyślałem ze smutkiem. Jeden z gości miał

pomalowane na czerwono paznokcie u nóg. To było żenujące. Zjadłem lunch, wypilem jedno piwo. Towarzystwo obok było coraz bardziej rozochoczone. Trzy lata temu pewnie bym się do nich dosiadł, dziś ich kompletnie nie rozumiałem. Zapłaciłem rachunek, poszedłem się poszwendać na przystani. Potem wróciłem do centrum i autobusem pojechałem na prom. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy – usprawiedliwiałem bezowocność swoich działań. Przynajmniej próbowałem, pocieszałem się. W kajucie zdrzemnąłem się, ale późnym wieczorem poszedłem do restauracji. Zjadłem na kolację jakąś rybę, wypilem piwo, wróciłem do kajuty. Chciałem już być w domu. Noc minęła spokojnie. O świcie byliśmy w Gdyni. Kiedy dotarłem do Rajgrodu, było południe. Kundel rzucił się na mnie z dziką radością. Resztę popołudnia spędziłem tak, jak lubię najbardziej: poszliśmy na długi spacer, podczas którego opowiedziałem mu każdy szczegół podróży. On jeden jedyny w całym moim życiu mnie nie krytykował. Wieczorem ponownie przejrzałem zapiski. Żeby zamknąć sprawę, musiałem jeszcze ustalić kilka faktów: jak się nazywała pani Anna, oraz przede wszystkim pogadać z kimś ze wsi w sprawie ojca bliźniaczek, niejakiego Noego. To o nim wspominała Sara na łożu życia i śmierci. Postanowiłem zacząć w moim ulubionym barze Smakosz. Po pierwsze, tubylcy przewijający się przez to miejsce już mnie znali. Zacząłem następnego dnia, podczas konsumowania mojego ulubionego schabowego. Nie powinienem tak rozrzutnie żyć, choć jeśli wziąć pod uwagę mój stan, zapewne była to jedna z niewielu przyjemności, które mi w życiu zostały. Mileny nie było, ale to zauważyłem dopiero pod koniec obiadu. Kiedy płaciłem rachunek, zagadnąłem kelnerkę o nazwiska osób, które pamiętają czasy wojny. Trochę się speszyła. Wiedziałem, że przeszłość odcisnęła trwałe piętno na lokalnej zamkniętej społeczności. Walery Walkiewicz, Antonina Piotrowska, Józef Bojanowski. Zapisałem nazwiska na kartce i błagalnym wzrokiem poprosiłem o adresy. Kiedy mi dyktowała, dorzuciłem sto złotych napiwku. Prawie jak w amerykańskim filmie. Wyszedłem z baru i od razu udałem się pod pierwszy ze wskazanych

adresów.

Walery Walkiewicz siedział na ławeczce przed domkiem. Ukłoniłem się, odpowiedział tym samym. Pełna kultura. Przedstawiłem się, powiedziałem kilka słów na temat tego, kim jestem i czym się zajmuję. Z dezaprobatą pokręcił głową na słowa „Unia Europejska”, ale nie poszczuł mnie psami. Powiedziałem, że interesuję się historią Rajgrodu, że sporo o niej czytałem, ale bardzo mi zależy, żeby więcej dowiedzieć się o pani Annie, pierwszej właścicielce mojego domu. Widziałem, że pytanie przyniosło mu ulgę. Opowiedział mi to, co pamiętał, odesłał do Antoniny, która mogła się przyjaźnić z kimś z jej rodziny. Miałem już w głowie jakieś tło i miałem punkt zaczepienia, żeby pytać dalej. Podziękowałem mu za rozmowę, zawołałem Kundla i poszliśmy do kolejnego domu. Antonina Piotrowska była przemiłą, choć przygłuchą kobietą. Miała dziewięćdziesiąt dwa lata i jej opowieść była wybiórcza i chaotyczna. Zapisywałem wszystko, co mówiła, mając nadzieję, że później uda mi się posklejać to w jedną całość. Widać, że rzadko miała gości, bo poświęciła mi wyjątkowo dużo czasu. Moje tło zaczęło nabierać sensu. Po dwóch godzinach uratował mnie Kundel, który dawał wyraźnie do zrozumienia, że chce mu się szczać. Podniosłem się, podziękowałem za rozmowę, zapytałem, czy mogę któregoś dnia wrócić, jeśli będę miał dodatkowe pytania. *Bo tak naprawdę szukam Sary. Sara?*, zapytała zdziwiona. *Sara? Przecież my chodziłyśmy do jednej klasy.* Popatrzyłem przepraszająco na Kundla, uchyliłem mu drzwi, wróciłem do Piotrowskiej. *Czy mogłaby mi pani opowiedzieć o Sarze?*

Gdybym był policjantem, miałbym ze sobą notes, na którym mógłbym gromadzić wszystkie zdobyte informacje. Nie miałem już na czym pisać. Wszystkie paragony i inne świstki, które znalazłem w portfelu i kieszeniach, były wypełnione. Rozejrzałem się z rozpaczą po pokoju. *Czy ma pani jakieś niepotrzebne kartki papieru? Mi już to wszystko niepotrzebne,* odpowiedziała. *Może pan wziąć to, co pan chce.* Sięgnąłem po starą gazetę leżącą na stercie papierów na podłodze. *Tego nie wolno, to na rozpalkę. Może*

pan wziąć stamtąd, wskazała ręką regał z książkami. Wziąłem pierwszą lepszą z brzegu, otworzyłem i zacząłem pisać na wewnętrznej okładce opowieść o Sarze. Po kolejnych dwóch godzinach przekrzykiwania się pani Piotrowska zasnęła. Byłem tak wymęczony skupieniem, że też bym zasnął, gdyby nie świadomość, że pod drzwiami siedzi Kundel. Wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi. Zamiast wrócić do domu, kupiłem w sklepie bułkę i kefir, i poszliśmy na cmentarz. Chodziłem długo między grobami. Zza muru dochodził gwar. Spod przeciwśłonecznych parasoli krzyczało życie, śmiech letników dobiegał nawet tu, gdzie ludzie po prostu odpoczywali. Większość z nich zapewne nie z własnej woli, ale jednak. Ponieważ wiedziałem, kogo szukać, znalazłem to, po co tu przyszedłem. Grób w Rajgrodzie albo grób w Rajgrobie. Albo w Raju. Realista, pesymista, optymista. Był zaniedbany, widać, że nikt tutaj nie przychodził. Być pochowanym pod cudzym nazwiskiem to gorsze, niż być pochowanym bezimiennie. Do bezimiennych przychodzą tłumy, oddają cześć i chwałę. Grób z cudzym nazwiskiem znaczy, że nikt do ciebie nie przyjdzie. *Saro, nie jesteś sama*, powiedziałem na głos ze wzruszeniem. *Zobaczysz, że wkrótce do ciebie przyjadą*.

Wróciłem do domu. Byłem zmęczony, ale nie mogłem zostawić notatek w takim chaosie. Pamięć ludzka jest zawodna. Jutro niewiele będę pamiętał z tych rozmów, pojutrze będzie jeszcze gorzej. Trzeba zrobić to od razu. Odsiać śmieci i zapamiętać to, co istotne. Zadzwoił nieznany miejscowy numer, ale nie odebrałem. Nie zamierzałem się rozpraszać. Nie teraz. Wyciszyłem telefon. Potem wyjąłem z kieszeni kartki, paragony i książkę, którą wziąłem od Piotrowskiej. Teraz, kiedy jako tako uporządkowałem historie dwóch kobiet, przypomniało mi się, że w teczce były zdjęcia. Wyciągnąłem ją i skupiłem się na fotografiach. Na jednej znajdowało się kilka osób, druga przedstawiała prawdopodobnie Sarę, trzecia Sarę z chłopakiem. Mogłem się jedynie domyślać, że te dwa ostatnie zdjęcia Sara nosiła przy sobie. Powinienem wziąć je do Piotrowskiej. Słuch miała do bani, ale wzrok nadzwyczaj dobry. Tak, wrócę do niej za kilka dni. Nie, wrócę do

niej jutro. Wszystko dzieje się po coś. Miała już swoje lata, była samotna i opuszczona, i nie wiadomo, na co jeszcze czekała na tym świecie. Może właśnie na mnie. Na przekazanie opowieści o Sarze. W nocy strasznie się martwiłem, żeby nie umarła przed moim powrotem. Spałem niespokojnie, zerkając co chwila na zegarek. Z ulgą przywitałem świt. Musiałem ze wszystkich sił powstrzymać się, żeby nie pobiec do wsi. Wypuściłem Kundla na dwór, zrobiłem sobie jajecznicę. Zastanawiałem się, czy powinienem powiedzieć jej, co się stało z jej przyjaciółką, bo na pewno nie to, co wszyscy myśleli. To mogło być jednak ryzykowne, wywołać domysły i niepotrzebne plotki. Skoro Sara zdecydowała się poświęcić życie, a pani Anna zaryzykować je dla tajemnicy, mogłem to jedynie uszanować. Nie byłem miejscowy, nie byłem potomkiem żadnej ze stron dawnego konfliktu. Do dziś mądre rządowe głowy nie wiedzą, jak to wszystko załagodzić, więc nie będę wychodził przed szereg. Nie potrzebowałem być w centrum niczyjego zainteresowania. Nie chciałem wzbudzać niczyjej ciekawości. Chciałem być kimś w stylu żony porucznika Colombo, której chyba nikt nigdy nie widział, a która do dziś jest przedmiotem uwielbienia i kultu fanów kina.

Sara była rówieśniczką pani Antoniny, więc można przyjąć, że urodziła się w 1925 roku. Taka zresztą data widniała na nagrobku, który odwiedziłem. Jej przodkowie od wieków mieszkali w Rajgrodzie. Rodzina była znana i szanowana. Zajmowali się krawiectwem. Teraz na miejscu pracowni krawieckiej jest sklep monopolowy. Sara chodziła do jedynej szkoły, jaka wtedy istniała w Rajgrodzie. Była jedynaczką. Rodzice Sary zostali wywiezieni po likwidacji getta do obozu przejściowego. Nie są znane ich dalsze losy, ale opierając się na wiedzy historycznej, można założyć, że nie przeżyli. Sara zawsze była chorowita, a kiedy zamieszkała w getcie, jej dolegliwości się nasiliły. Była bardzo zamknięta i wycofana. Czasami spotykała się z panią Antoniną i podczas jednego z takich spotkań Sara zwierzyła się przyjaciółce, że z powodu głodu panującego w getcie nadal nie stała się prawdziwą kobietą. Zazdrościła koleżance pierwszej miesiączki.

Sara podobała się chłopcom we wsi, ale odrzucała zaloty wszystkich kawalerów.

Około godziny dziesiątej, z bijącym sercem, stałem ponownie pod drzwiami staruszki z fotografiami w kieszeni. Zaprosiła mnie do środka, obejrzała zdjęcia. Na chwilę jej twarz się rozjaśniła. Tak, to pani Anna z rodziną. Że też nie ubrali butów do zdjęcia. To Sara. A tu Sara z Kramarczukiem, też z nami chodził do klasy. Zacząłem się martwić. To wszystko szło za łatwo, za szybko wskakiwało na swoje miejsca. Obawiałem się, że moja samozwańcza misja zbyt szybko się skończy i poczułem żal. Pożegnałem się z gospodynią i idąc za ciosem, pobiegłem do Bojanowskiego. Był rówieśnikiem Piotrowskiej, ale wyglądał jak jej syn. To ciekawe, dlaczego czas łagodniej obchodzi się z facetami. Przedstawiłem się, opowiedziałem kilka słów o sobie. Standard. Okazało się, że już się rozeszło po wsi, że wężsę. Przy okazji pan Walkiewicz, z którym rozmawiałem poprzedniego dnia, zdał relację swojemu synowi. Ponieważ ten pracował w gminie, wymyślił, żeby zrobić punkt konsultacyjny przy urzędzie, w którym każdy zainteresowany mógłby uzyskać pomoc w wypełnianiu wniosków o dofinansowanie. Oczywiście ja miałem dostać zaszczytne miejsce konsultanta. Idea słuszna, dzięki Bogu, że wczoraj nie odebrałem tego telefonu, bo jak znam życie, od razu zaprzęgliby mnie do roboty. Pokiwałem jednak głową, że to ciekawa propozycja i że chętnie pomogę mieszkańcom w ich problemach. To zachęciło go do dalszej rozmowy. Wyjąłem z kieszeni zdjęcia Sary. Wziął je w drżące dłonie. Chyba nie tego się spodziewał. No tak, Walkiewicza pytałem wyłącznie o Annę. Staruszek patrzył na fotografie, a ja patrzyłem na niego. Był wzruszony i nawet tego nie krył. Położył fotografię na stole i długo wodził po niej opuszkami palców. W kącikach oczu czaiły się łzy. Wreszcie podniósł na mnie wzrok. *Panie Bojanowski, czy zna pan tego gościa, który jest na zdjęciu z Sarą?* Pokiwał głową. *Chodziliście razem do jednej klasy. Czy dobrze ich pan znał?* Wiedziałem, że waży w głowie odpowiedź. *Nie tak dobrze jak sądziłem,*

odpowiedział powoli. *Kramarczuk był moim przyjacielem. Kochał ją, a ona po prostu zniknęła. Wiem, w tamtych czasach wielu zniknęło, ale nikt nigdy nie odnalazł jej ciała. A Kramarczuk długo ich szukał po wojnie; Sary i dziecka.*

O mało co nie zemdlałem z wrażenia. To dopiero była historia. Musiał mówić prawdę, skoro wspomniał o dziecku, przecież nikt inny o tym nie wiedział. *Młody człowieku, mówił, każda wojna niesie spustoszenie i ból. W szkole musieli się ukrywać. Pochodzili z dwóch różnych kultur i wyznań. Ani jego rodzice, ani jej nie akceptowali tego związku. Popętnili grzech cudzołóstwa, ale żyli w czasach, w których każdy dzień mógłby być ostatnim. Chcieli spróbować w życiu wszystkiego. Planowali się pobrać po wojnie. Kiedy zrozumieli, że Sara jest w ciąży, nie było jak i dokąd uciekać. Kamuflowała odmienny stan ubraniami, żeby w chudym ciele jak najdłużej ukryć ciężę. Pewnego dnia wyszła z getta na jakieś roboty i nigdy nie wróciła. Ludzie gadali, że uciekła, nikt przecież nie znalazł jej ciała, a on wolał w to wierzyć, bo tak było mu lżej. Latami czekał, aż wróci. Czas zacierał wspomnienia. Ułożył sobie życie. Umarł ze dwadzieścia lat temu na zawał serca. Pogrzeb miał przepiękny. Odetchnąłem z ulgą. Lepsze to, niż miałby w wieku ponad dziewięćdziesięciu lat zostać podwójnym ojcem dwóch leciwych staruszek.*

Biłem się z myślami. Powiedzieć to, co wiem, czy nie? To była bomba, której się w życiu nie spodziewałem. Wystraszyłem się, że coś jest nie w porządku. Za gładko mi szło. Ale jeśli nawet obiecywałem sobie milczeć, teraz sytuacja się zmieniła. Wiedziałem, po czyjej stronie był. Poza tym otworzył się przede mną bez żadnego wahania. *Panie Józefie, powiedziałem, zaczerpnąwszy powietrza, czy dobrze się pan czuje? No strzyka mi tu i ówdzie, ale generalnie mogłoby być gorzej, odpowiedział. Postanowiłem dłużej nie zwlekać: Sara nikogo nie zostawiła. Nie uciekła. Nikt tego nie wie, ale została pochowana pod zmienionym nazwiskiem na przykościelnym cmentarzu. Opowiedziałem mu o wszystkim. O tym, jak znalazłem w piwniczce teczkę, i o jej zawartości. O moich poszukiwaniach. Nie*

pomiąłem żadnego szczegółu. Z niedowierzaniem kręcił głową. Zaczynałem być specjalistą w języku gestów, kto by pomyślał.

Oczywiście, że jestem zainteresowany objęciem stanowiska konsultanta. Nie, nie, jestem zainteresowany. Chętnie pomogę mieszkańcom Rajgrodu, ale w wolnym czasie, bo wie pan, odkąd jestem bezrobotny, zupełnie na nic nie mam czasu. Takie rozmowy śniły mi się tej nocy i kiedy rano wstałem, wiedziałem, że muszę tak przemyśleć odpowiedź, żeby nie zrazić do siebie mieszkańców Rajgrodu, ale równocześnie nie udupić samego siebie. Nieznany numer dzwonił wczoraj jeszcze trzy razy, ale byłem asertywny i nie odebrałem. Teraz jednak, kiedy ponownie rozległ się dźwięk dzwonka, postanowiłem wziąć byka za rogi i tak pokierować rozmową, żeby zyskać czas na rozterki. *Dzień dobry, tu dom seniora, czy może pan rozmawiać? Jestem właśnie bardzo zajęty, ale słucham. Czy wobec tego mógłby Pan nas odwiedzić w najbliższym czasie? Oczywiście. Ale przepraszam, co to za dom dzwoni? Seniora? Tak. Rajgrodzki dom seniora. Rozumiem, że chodzi o pomoc w wypełnieniu jakiegoś wniosku o dofinansowanie? O której mógłby Pan u nas być? Za godzinę? Proszę zapisać adres, moja konkretna rozmówczyni podała dane i się rozłączyła.*

Niewątpliwie robiłem niezłą karierę we wsi. Dom seniora, urząd gminy, wieści szybko się rozchodzą. Za chwilę ustawią się kolejki z Miejskiego Ośrodka Kultury i Ochotniczej Straży Pożarnej. Potem przyjdą organizacje pożytku publicznego, przedszkola i szkoła. Na szczęście niedługo umrę i będę miał święty spokój. Wiem, marudziłem, ale cieszyłem się z takiego obrotu spraw. Wolałem być wolnym strzelcem, dobrym wujkiem, konsultantem charytatywnym, który zaskarbi sobie wdzięczność społeczności, ale tylko w wolnych chwilach. Mógłbym nadal wybierać, jaki wniosek chcę pisać, zasłaniając się tajną pracą zawodową. To mi kradło czas, ale taka była cena poczucia wolności.

Bez trudu znalazłem ośrodek, do którego zostałem zaproszony. „Dom

spokojnej starości w Rajgrodzie” – głosił napis na tabliczce. Zapomniałem dodać „prywatny”, co było istotne z uwagi na położenie i wygląd budynku. Umiejscowiony nad samym jeziorem, wyglądał raczej na pensjonat wypoczynkowy niż na przedsiónek cmentarza. Zanim tu wpadłem, rzuciłem okiem w Internecie na mapkę. Nie uszły mojej uwadze podstawowe informacje na temat domu: sześćdziesiąt pięć miejsc dla pensjonariuszy. Przystosowany do osób niepełnosprawnych. Pokoje dwu-i jednoosobowe, z pełnym węzłem sanitarnym. Zajęcia kulturalno-oświatowe, rehabilitacja. Siłownia, spacerki, widok na jezioro. Pełne wyżywienie, maksymalna całodobowa opieka, wykwalifikowany personel, rodzinna atmosfera. Ble, ble, ble. Kolonie jesieni życia. Lepsze to niż samotne siedzenie w domu, w którym nikt cię nie chce. Na pierwszy rzut oka było widać, że prowadzący ośrodek nieźle sobie radzą z finansowaniem. Kto jak kto, ale oni nie powinni narzekać na brak środków. Postanowiłem być sprawiedliwym i odmówić wszelkiej pomocy. Byli inni, którym wiodło się o wiele gorzej. Ale musiałem wyjaśnić im to raz na zawsze. Stanąc twarzą w twarz i zdecydowanie i kategorycznie uciąć wszelkie próby kontaktu w przyszłości. Zrobiłbym to, gdyby nie moja komórka, która zaczęła wibrować w kieszeni. Rzuciłem okiem na wyświetlacz. Numer ze Stanów. Odebrałem i w skupieniu słuchałem rozmówcy. Nawet nie wiem, kiedy moje nogi same zawróciły na drogę i poniosły mnie z powrotem do domu. Tylko z tego powodu nie zostałem opryskliwym gburem, który w nosie ma ciężki los starzejących się ludzi. Zamiast tego zostałem zapewne niekulturalnym gburem, który nie dotrzymuje umowy i nie dociera na umówione spotkanie. Miałem to gdzieś. Dzwonił do mnie brat Elizabeth. Musiałem bardzo się powstrzymać, żeby nie powiedzieć o moich odkryciach: o grobie jej matki i znalezieniu przyjaciela ojca. Nie chciałem nikogo wystraszyć. *Pan Bóg wysłuchał moich próśb i Elizabeth, zaciekawiona skanem odpisu z miejscowej parafii, postanowiła przyjechać do Rajgrodu. Chce zobaczyć miejsce swoich urodzin. Może to wreszcie sprawi, że odnajdzie brakujący element układanki, którego*

szuka całe życie. Przysięgam, że właśnie tak to ujął. Zostałem poinformowany, że skoro decyzja została podjęta, postanowili pójść za ciosem i już kupili bilety. Zapomnieli zapytać, czy termin mi pasuje. Cóż, najwyżej ich pozwę. Mieli problem ze znalezieniem rezerwacji dla czteroosobowej rodziny. Nie dziwiłem im się. Sezon w pełni, w pensjonatach brakowało miejsc, w sklepach schłodzonego piwa. Przypadkiem miałem dla nich kilka miejsc pod swoim dachem. Niezbyt luksusowych, ale wiedziałem, że po przybyciu na miejsce będą oczarowani.

To były szalone dni. Schudłem chyba ze dwa kilo, miałem poczucie sukcesu. Wieczorem padłem na tarasie, otworzyłem wino, postanowiłem zresetować mózg. Zza płotu jednak zaczęły dobiegać głupie śmiechy. To się zdarzyło pierwszy raz. Impreza trwała do późnych godzin nocnych, hałasy niosły się po wodzie do sąsiedniej wsi. Około północy poszedłem nieśmiało zapukać do drzwi i poprosić o ciszę. Nikt mnie nie usłyszał. Zapukałem głośniej. Na ganek wyszła sąsiadka, która dawniej nasyłała na mnie policję. *Czy dziecko nie potrzebuje się wyspać?*, zapytałem kąśliwie. *Moja wnuczka kilka miesięcy temu zmarła, odparła ze smutkiem. Niech się bawią, niech wreszcie odżyją. To pierwsze takie chwile.*

Wycofałem się. Moje wcześniejsze zadowolenie rozplynęło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Miała baba rację, niech się bawią. Nie wyobrażałem sobie straty dziecka. Jak można się czuć i jak można później odreagowywać. Nie znałem ich, ale się przejąłem. Przywołałem Kundla, przytuliłem go. Mimo że było już późno, napisałem do syna, że go lubię. Potem dokończyłem wino, napisałem kolejnego SMS-a, że bardzo za nim tęsknię i że go kocham. *OK* – odpisał. To i tak było więcej, niż oczekiwałem. Położyłem się spać, tej nocy miałem złe sny.

Nazajutrz zalogowałem się na Facebooku. Odczytałem wiadomości od Brendy. Wszystkie były napisane przed rozmową telefoniczną, więc nie musiałem się wysilać, żeby odpisywać. Jeszcze raz spróbowałem wyszukać

w Internecie bliźniaczkę ze Szwecji, ale bez skutku. Do przyjazdu Elizabeth został tydzień. Obszedłem dom i z zadowoleniem stwierdziłem, że może nie ma luksusów, ale nie ma też czego się wstydzić. Skosiłem trawnik, poprawiłem zawinięty listek na krzewie. Wszystko było przygotowane. Jedno nie dawało mi spokoju. Noe. Czy to możliwe, że Sara mogła zdradzać Kramarczuka? Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Postanowiłem jeszcze raz rozmówić się z Bojanowskim.

Czy w czasie wojny mieszkał tu jakiś Noe?, zapytałem. Długo się zastanawiał, ale pokręcił przecząco głową. *Na pewno nie wśród naszych rówieśników. Dlaczego pan pyta? Bo Sara po porodzie wspomniała coś o dzieciach Noego.* Staruszek się uśmiechnął. *Gdybym miał żyć tak długo jak on, najbardziej chciałbym zachować taką świeżość umysłu. Miała na myśli siedem praw Noego*, powiedział. *Mieliśmy różne religie, ale tego samego Boga. Według Sary każdy obcy, który stosował się do tych siedmiu praw, miał szansę na zbawienie. To była furтка dla Kramarczuka. W ten sposób chciała przekonać rodziców do swojego związku, zanim zaszła w ciążę.*

Wróciłem do domu uspokojony. Po pierwsze, Sara okazała się porządną dziewczyną kochającą tylko jednego faceta, po drugie, znaleziony nieżyjący ojciec był lepszy niż brak ojca. Po czym wnioskowałem, że Sara kiedyś kochała tego faceta? Nie chciała go nawracać na swoją wiarę, chciała dać mu żyć po swojemu. To mi wystarczyło. Pomyślałem skruszony, że dawno się nie modliłem. To trochę tak, jakbym wziął ciężary życia wyłącznie na swoje barki. Zwróciłem się więc do swojego doradcy duchowego, pana Google'a, o objaśnienie praw, o których wspomniał staruszek, wstukałem w wyszukiwarkę hasło *Dzieci Noego*, przejrzałem pobieżnie kilka stron. Chciałem się tylko ogólnie zorientować, ale po tym, jak odkryłem, że Noe, z racji tego, że jako głowa jedynej rodziny, która przeżyła potop, jest także moim prapradziadkiem, temat mnie zaciekawił. Powinienem wpaść na to już dawno, no ale wiecie, do tej pory nie interesowało mnie drzewo genealogiczne mojej rodziny. W judaizmie przyjmuje się, że Bóg wręczył

Noemu po potopie siedem nakazów moralnych. Jakby się bardziej wczytać, okazałoby się, że wcześniej, w raju, wręczył Adamowi sześć, a Noemu dorzucił dodatkowo siódmy. Gdyby jeszcze poszperać, okazałoby się, że jeszcze później, na górze Synaj, dorzucił kilka kolejnych i tak powstało dziesięć przykazań. Aha, i Tora. Tyle uproszczonej historii z Internetu. Co było dalej, wiemy z lekcji religii i kazań. Klucz dla Piotra, głowy Kościoła, i kolejne pięć przykazań kościelnych dla chrześcijan. Pula wymagań cały czas rośnie. Żydzi też dostali niezły regulamin. Ucieszyłem się, że nie jestem Bogiem. Jeśli chodzi o paragrafy i wymogi, sam umiałem je egzekwować wyłącznie służbowo. Ale wróćmy do siedmiu praw: ci, którzy się do nich stosują, są uważani za dzieci Noego. A więc o tym mówił Bojanowski. Kramarczuk jako chrześcijanin mógł osiągnąć status sprawiedliwego poprzez stosowanie się właśnie do tych praw. Swoją drogą to całkiem ciekawe: niech każdy wierzy na swój sposób, byle baza postępowania wobec spraw fundamentalnych była wspólna. Spodobała mi się ta idea. To lepsze niż licytowanie się, która religia jest lepsza, i uszczęśliwianie na siłę wierzących inaczej. Nie zamierzałem jednak wchodzić w ten temat głębiej, żeby nie znaleźć żadnych „ale”. Myślałem o Sarze. Miała siedemnaście lat i prawdopodobnie dlatego miała odwagę kombinować, szukać wyjścia. Chciała żyć i chciała być szczęśliwa. Byłaś mądrą dziewczyną, Saro, nieoczekiwanie się rozkleiłem, na szczęście tylko na chwilę. Zwoje mojego mózgu mimowolnie pracowały. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie nieudolnych prób wpojenia zasad Dziecku, ale odgoniłem te myśli, żeby się nie pogrążyć. To była przeszłość. Teraz skupiałem się na sobie. Odniosłem się w myślach do wszystkich siedmiu praw.

Bałwochwalstwo – nie. Odkąd przestałem mieć przełożonego, nie miałem żadnego idola. Zabójstwo – byłem niewinny. Kradzież – jeśli tak, to z roztargnienia kilka zapalniczek czy długopisów. Rozwiążność – za to chyba pójdę do nieba. Błuznierstwo – nie. Okrucieństwo wobec zwierząt – nie. Sprawiedliwość – przynajmniej się starałem. Odetchnąłem z ulgą. Jednak nie

byłem taki zły. Generalnie wszystkie zasady były mi dobrze znane. Zainteresowała mnie ostatnia, bo dotyczyła nie tylko zachowania człowieka, ale wymuszała zorganizowanie systemu sądownictwa, który będzie egzekwował stosowanie się do wszystkich praw. To jedyny nakaz, a nie zakaz w tym zestawie. Znowu się zamyśliłem. Całe życie błądziłem w ciemności. Zamiast ustanowić w domu nakazy, brnąłem w zakazy, które działały na Dziecko jak płachta na byka. Rodzice, uczcie się na moich błędach.

Elizabeth przyjechała ze swoją siostrą późnym wieczorem. Od jeziora biło przyjemnym chłodem. Zupełnie jak od niej. Nie podobał jej się mój dom. Widziałem, jak z dezaprobatą przewracała oczami. Trochę szacunku, miła pani. Postanowiłem ją ciut przetrzymać. Było już za późno, żeby tej nocy szukać innego lokum, a wiedziałem, że rano, po rozmowie ze mną, nigdzie nie zechce odjechać. Udostępniłem im przygotowane wcześniej pokoje. W nocy słyszałem, jak ktoś wychodzi na taras, ale kompletnie to zignorowałem.

Kiedy wstałem, Elizabeth siedziała na tarasie i czekała na śniadanie. Zdaje się, że nie do końca się zrozumieliśmy. Zaparzyłem kawę dla nas obojga i zająłem sąsiedni fotel. *Nie wiem czego szukam*, powiedziała po polsku. Na szczęście nie musiała już się tym martwić. Opowiedziałem jej o kłapie w podłodze, o materacu i stoliczku w piwnicy, o teczce. Nie wiedziałem, czy mi uwierzyła, ale miałem na wszystko świadka. Zawołałem Kundla, chcąc się wesprzeć jego autorytetem, potem podniosłem się, przyniosłem teczkę, położyłem przed nią na stole. Tyle na początek wystarczy. Chciałem dać jej czas, żeby to wszystko przetrwała. Nie codziennie człowiek uzmysławia sobie, że nie jest tym, kim wydaje mu się, że jest. Zeszliśmy z Kundlem do ogrodu, od razu pobiegł do furtki. To był świetny pomysł. Uciekłem z nim na długi spacer. W drodze powrotnej kupiłem świeże pieczywo, masło, twaróg i kefir. Kiedy wróciłem do domu, Elizabeth vel Elżbieta vel Esterka nadal siedziała na tarasie; brat Tom

z Brendą stali na pomoście, a córka Esterki nadal spała. Przemogłem się i zrobiłem improwizowane śniadanie. Stawiając talerz na stole, zauważyłem, że teczkę przesunięto. Brawo, Colombo, ktoś tu czytał stare zapiski. *To oni*, powiedziała, wskazując głową na pomost, zupełnie jakby czytała w moich myślach, *ale nic nie rozumieją* – roześmiała się. Patrzyłem jak zaczarowany. Nagle, z uśmiechem na ustach, stała się zupełnie innym człowiekiem. Jakby ją zamienili. Czy to możliwe, że podczas gdy ja brykałem z Kundlem, odnalazła się Helena vel Chasia i podmieniła Elizabeth? *Czytałaś?*, zapytałem. *Nie, jeszcze nie. Chcę to wszystko zrobić powoli, żeby dobrze zrozumieć.* Postanowiłem jej nie popędzać. W najgorszym wypadku zepnie się za tydzień. Wiedziałem, że mają zaplanowaną wycieczkę do Krakowa i Warszawy. W góry i nad morze. Jak szaleć, to szaleć. Za miesiąc wracali do USA. *Dobrze*, powiedziałem, *w takim razie po prostu pytaj, jeśli mam coś dopowiedzieć. Najpierw pokaż mi piwnicę.* Podniosłem się. Bez problemu przesunąłem pustą szafę i otworzyłem właz. Zrobiło mi się troszkę głupio, że nie zachowałem starego wyposażenia. Miałaby prawdziwą wizję lokalną. Na szczęście kilka fotek zostało w smartfonie. Kiedy schodziła po schodach, patrzyłem na jej twarz. Niby nic się nie zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko. Nie wiem, czy to kwestia kącików ust, czy błysku w oczach. Miałem wrażenie, że mam przed sobą inną kobietę. Nie poszedłem za nią. Tę lekcję musiała odrobić sama.

Jeśli oni nie umieli czytać po polsku, a ja nie wspomniałem nic o siostrze, której nie udało mi się odnaleźć, to znaczy, że Elizabeth nadal nie była świadoma jej istnienia. Ustalmy fakty: powiedziałem o piwnicy, o pochowanej pod zmienionym nazwiskiem matce. Powiedziałem, jak kobieta dała jej na imię i dlaczego została oddana. Nie pominąłem istnienia Kramarczuka. Pochwaliłem się, jak latałem po wsi, jak odnalazłem grób, dorzuciłem kilka ciekawostek o matce i ojcu. Czy byłem potworem, czy człowiekiem odpowiedzialnym? Nie umiałem tego rozstrzygnąć. Odpowiedzi znajdowały się w tezcze. Chciałem, żeby sama przez to przebrnęła. Nie

mogłem jej podsuwać na siłę zdjęć matki ani ubierać ją w nowe dziedzictwo. Musiała naprawdę mieć ochotę zrobić kolejny krok. Czyli nie byłem potworem, wielka ulga. Z pomostu wróciło towarzystwo, rzucili się na śniadanie. Byłem pewien, że dawno nie jedli nic tak pysznego. Pozostawało jeszcze ustalić kilka szczegółów technicznych: niech wybiją sobie z głowy, że codziennie będę biegał po bułki. Mają nogi, ręce, głowy, są dorośli. Powinni umieć o sobie zadbać. Kiedy Elizabeth weszła z powrotem na pokład, dołączyła do biesiadników. Opowiedziała im o tym, czego się dowiedziała. Była w dobrym nastroju. Po śniadaniu wszyscy poszli spać. Nie dziwiłem się im; zmiana strefy czasowej jeszcze przez kilka dni i nocy będzie dawała się im we znaki. Modliłem się, żeby spali jak najdłużej. Przez ostatnie miesiące odwykłem od ludzi. Znowu dzwonił cholerny dom seniora, ale miałem ich gdzieś. Posprzątałem po śniadaniu, opróżniłem popielniczkę wypełnioną po brzegi petami. Też bym się walnął do łóżka, ale jako gospodarzowi było mi trochę niezręcznie. Zszedłem na pomost, potem wróciłem na taras. Palilem papierosa, kiedy pojawiła się sąsiadka. *Nasza sąsiedzka znajomość źle się zaczęła. Powinniśmy to naprawić. Zgadzałem się z nią. Uwielbiam sąsiadów, którzy nasyłają na ciebie policję. Dziś wieczorem zapraszam pana na grilla. Chętnie wyskoczę. Przynajmniej nie będę musiał konwersować z Tomem. Godzina dwudziesta? Jesteśmy umówieni.*

To było coś. Wreszcie, pomijając sylwestrową prywatkę, zostałem gdzieś zaproszony. Jeszcze o tym nie wiedziałem, ale uwielbiałem balować u sąsiadów. Po wszystkim przeskakujesz przez płot i jesteś w domu. Zapomniałem zapytać, czy mogę przyjść z osobą towarzyszącą. Miałem taką jedną: z dobrymi, mądrymi ślepiami, które patrzyły na mnie z oddaniem. Cóż, sprawdzimy to na miejscu.

Teczka pozostała nietknięta przez kolejne kilka dni. Przyznam szczerze, podziwiałem tę kobietę. Albo miała stalowe nerwy, albo nie była ciekawa. Wyobrażałem to sobie inaczej: ona przeczyta, wzruszy się, może nawet uroni łzę. Potem rzuci mi się na szyję i podziękuje za moje bezinteresowne

działania, które pozwolą jej w pełni ukonstytuować tożsamość. Nic takiego się nie wydarzyło. Była poruszona, jasne, ale zachowywała stoicki spokój. Powoli zaczynało mnie to nudzić. Gdyby nie moja nowa przyjaźń z sąsiadką, pewnie byłbym sfrustrowany. Elizabeth po prostu delektowała się pobytom w mojej hacjendzie, miło gaworzyła sobie z rodziną, spacerowała po okolicy. Nie zadawała pytań. Albo była terminatorem wyższej generacji niż ci, których do tej pory oglądaliśmy, albo na nowo układała sobie wszystko w głowie. Od Toma wiedziałem, że ich rodzice nigdy nie wspomnieli, że Elizabeth była adoptowana. Zastanawiałem się, co zrobiłbym na ich miejscu, i nie potrafiłem jednoznacznie tego przesądzić. Powiedziałbym dziecku czy nie? Może gdybym wiedział coś, cokolwiek na temat rodziców... Naprawdę nie wiedziałem. Codziennie zaglądałem do mojej sąsiadki. Miała około sześćdziesięciu lat, mieszkała na co dzień w Warszawie. Jej jedyna wnuczka, trzynastoletnia Weronika, kilka miesięcy temu przegrała walkę z białaczką. Pod koniec bardzo cierpiała. Pomyślałem, że ludzie mają większe nieszczęścia niż utrata pracy, rodziny i rak. Czy tylko ja tak bardzo rozczulałem się nad sobą? Przegadaliśmy wiele godzin, to był dobry czas. Umówiliśmy się, że po sezonie to ja będę doglądał ich domu. Podlewanie kwiatków i takie tam. Nie miałem nic przeciwko temu. Dzień przed wyjazdem gości z USA Elizabeth poprosiła, żebym zabrał ją na cmentarz. Była piękna pogoda, pełnia lata, choć wieczorami dawało się odczuć, że niedługo wszystko się zmieni. Po drodze opowiedziałem jej o Kramarczuku. Sam z siebie. Chciałem, żeby w końcu ktoś mnie pochwalił. Przypomniałem o teczce. Na cmentarzu o tej porze nie było nikogo. Parasole, piwko, jezioro, te sprawy. Zaprowadziłem ją na grób obcej kobiety, która dała jej życie. *Trzeba zrobić z tym porządek*, powiedziała, patrząc na zaniedbałą mogiłę. *Miałam dobrych rodziców*, dodała. *To nie wyklucza oddania czci tym, którym nie było dane pokazać, ile mieli w sobie miłości*, powiedziałem przekornie. *Dlatego tu jestem*, odpowiedziała spokojnie. Potem stała kilka minut bez ruchu, prawdopodobnie się modliła. Saro, przyprowadziłem ci córkę,

pomyślałem wzruszony. *Opowiedz mi, co się wydarzyło*, poprosiła, kiedy ruszyliśmy w stronę bramy. *Opowiedz mi wszystko. Dlaczego nie chcesz tego sama przeczytać? Boję się, że dobrze nie zrozumieć. Że będę chciała od razu przeczytać za szybko, zamiast czytać i celebrować każde zdanie. To jest moja historia, o której nie miałam pojęcia, ale którą gdzieś w głębi serca przeczuwałam.* Teraz ją rozumiałem. Byłem kimś obcym, pośrednikiem, wykonawcą, a tak się w to zaangażowałem, że na samą myśl o tej historii zalewała mnie fala pytań i emocji. *Nie wiem dlaczego, ale jadąc tutaj w ciemno, czułam wielką radość. Nie rozumiem tego wszystkiego.* Uśmiechnąłem się pod nosem. Ja to rozumiałem bardzo dobrze.

Po naszym powrocie z cmentarza wesoła rodzinka zajęła się pakowaniem, a kiedy wszystko było gotowe, pojechali do Augustowa – bez Elizabeth. Na szczęście własnym, to znaczy wynajętym samochodem. Czy musiałem mówić, że nieźle mnie przez ten tydzień wyeksploatowali? Tak, nie gotowałem im obiadów, nie przyrządzałem posiłków. Ale byłem gospodarzem, który hołdując wielowiekowej tradycji, zabezpieczał zawartość lodówki. Nawet dwa razy dziennie. I nikt mi nie uwierzy, ale mimo że jeździli na obiady do Smakosza, ta zawartość natychmiast zniknęła. Był ostatni dzień sierpnia. Powinienem zadzwonić do syna, który jutro rozpocznie nowy rok szkolny. Mieliśmy spędzić trochę czasu wspólnie w te wakacje, ale jakoś nie było okazji. Sprawdziłem stan swojego konta i zmartwiłem się; przez tydzień przepuściłem kasę przeznaczoną na cały miesiąc. Czułem, że coś wisi w powietrzu. Elizabeth nie pojechała do Augustowa, być może dlatego, że chciała zostać sama. Zdziwiłem się, że teczka leżała przy bagażach. *Proszę, opowiedz mi wszystko*, poprosiła znowu. Musiałem odmówić. Chciałem ją zmusić, żeby wreszcie to zrobiła. Zawołałem Kundla, wziąłem z szafki kluczyki i portfel. *Nie będzie mnie jakiś czas*, powiedziałem. *Mam do załatwienia sprawę w domu seniora*, dodałem usprawiedliwiająco, *dobijają się do mnie od wielu, wielu dni.* *Okay*, odpowiedziała. *Porozmawiamy później.* Ruszyłem do samochodu, ale przypomniałem sobie o przygotowanej

do spakowania teczce. *Elizabeth*, powiedziałem, z *pewnych względów nie możesz tego zabrać, jeszcze nie teraz.*

Oczywiście skłamałem z tym domem seniora, ale było to tak przekonywujące, że sam uwierzyłem w to niewinne kłamstwo i postanowiłem jednak tam pojechać. Może jeśli są tak bardzo zdeterminowani, zapłacą mi dobre pieniądze za napisanie wniosku. W końcu to instytucja prywatna. Zajechałem do sklepu, kupiłem trochę jedzenia na śniadanie, modląc się, żeby kolację załatwili sobie we własnym zakresie. Dziwne to życie. Przewrotne. Zajechałem pod pensjonat. Wysiadłem z auta, zapaliłem papierosa. W asyście Kundla pokonałem schodki i dotarłem do recepcji. *Witam, nazywam się tak i tak, ktoś od państwa dzwoni do mnie po kilka razy dziennie. Proszę chwileczkę poczekać*, recepcjonistka zniknęła za szklanymi drzwiami. Czekałem kilka minut, byłem coraz bardziej zniecierpliwiony. Podświadomie się denerwowałem, czy Elizabeth zmierzy się z zawartością teczki i jaka będzie jej reakcja. Recepcjonistka nie wracała. Wyszedłem na zewnątrz, zapaliłem kolejnego papierosa. Nagle z budynku wyszła kobieta mniej więcej w moim wieku. *Dziękuję, że pan w końcu przyszedł. Wiele razy próbowałam się z panem skontaktować. Byłam bardzo zajęta, przepraszam, usprawiedliwiłam się. Ostatnio mam wiele wniosków do wypełnienia, chciałam sprytnie podbić własną stawkę za usługi. Niech nie myślą, że robią mi łaskę. Wniosków?*, popatrzyła zdziwiona. *Tak, o dofinansowania. Przecież dlatego państwo do mnie wydzwaniacie? Nie.* Poczulem się zbity z tropu. Nie tak miało być. *Żegnajcie, kochane pieniążki. Więc o co chodzi? O osobę, której pan szuka. Szukam?*, zdziwiłem się. *Przecież już znalazłem. A nie szuka pan? Nie. Być może zaszła jakaś pomyłka. Proszę jeszcze chwileczkę poczekać, pójdę się upewnić. Byłam przekonana, że to pan zostawił swój numer telefonu sąsiadom Heleny Kozłowsky. Zamarłem. Co pani powiedziała? Przepraszam, zaraz wrócę*, oddaliła się. Jezu! Czy to możliwe, że szukałem kobiety po całym świecie, a ona siedziała w domu seniora w Rajgrodzie? Matko Boska, to byłby prawdziwy cud. Zalała mnie fala

gorąca. Pożałowałem, że pozwoliłem tej kobiecie na chwilę odejść. Tak potrafią tylko prawdziwi mistrzowie refleksu. Mój mózg pracował intensywnie. Jasne. To by się zgadzało. Przecież sąsiad Heleny powiedział, że wyjechała do Polski. Jak nic sprzedała dobytek i wykupiła pokój w pensjonacie. Było jej łatwo zmienić miejsce zamieszkania, bo w Szwecji nie miała nikogo. Musiało być i inne wytłumaczenie. Ktoś, najpewniej przybrani rodzice, powiedzieli jej wszystko, co wiedzieli. Pewnie wróciła na stare śmieci, żeby tu poszukać dalekiej rodziny. Byłem geniuszem, czułem to. Wróciła moja rozmówczyni. *Proszę pani, powiedziałem, rzeczywiście szukam pani Heleny i już zacząłem wątpić, że uda mi się ją znaleźć. Bardzo panią proszę zaprowadzić mnie do jej pokoju. Mam nadzieję, że nie śpi? Pani Helena nie jest pensjonariuszką domu seniora, powiedziała, a ja poczułem się rozczarowany jak nigdy dotąd. Nie? Ona jest właścicielką tego miejsca i czeka na pana w swoim gabinecie.*

Starsza siostra, Chasia. To niesamowite, jak bardzo były do siebie podobne. Wychowywały się w dwóch obcych sobie rodzinach, pod różnymi nazwiskami, z innymi datami urodzenia, w dwóch różnych państwach leżących na różnych kontynentach. Czy nie za często używam słowa „różne”? A jednak na pierwszy rzut oka wyglądały jak własne klony. Nie wiem jednak, co takiego było w Helenie, że od razu ją polubiłem. Z Elą sprawa trwała dłużej. Tu zaskoczyło natychmiast. *Słyszałam, że szukał mnie pan w Szwecji?*, uśmiechnęła się promiennie. *Próbowałam się z panem skontaktować, ale był pan bardzo zajęty. Przepraszam, wydukałem. Pewnie dziwi się pan, co tu robię? Powiem szczerze, że ja też się dziwię, co pan tu robi,* znowu się uśmiechnęła. *Nie można pani znaleźć przez Internet,* powiedziałem z wyrzutem. Tak, miałem refleks i byłem mistrzem konwersacji. Codziennie mógłbym robić spotkanie po latach, odnajdywać zaginione bliźniaczki. *Więc dlaczego mnie pan szukał? Bo prawdę mówiąc, zaintrygowało mnie, że ktoś, kto jest praktycznie moim sąsiadem, szuka mnie po Europie. Czy jesteśmy jakoś spokrewnieni? Bardzo bym chciał,*

pomyślałem. Miałbym za jednym zamachem rodzinę w Stanach i darmowe przytulisko na starość. Ale nie mogłem narzekać. Miałem matkę, która gotowa była w każdej minucie narwać mi pokrzyw. *Pani Heleno, wziąłem głęboki oddech. Zanim wszystko opowiem, proszę mi powiedzieć, dlaczego pani tu wróciła? Kiedy skończyłam pięć lat, moi rodzice powiedzieli mi o adopcji. Że szukali mnie całe życie i znaleźli tu, w Rajgrodzie. Znalazłam na to dowód w księdze parafialnej. Kupiłam ze współnikiem ten dom kilka lat temu, kiedy jeszcze byłam w Szwecji. Miałam nadzieję, że jak pozamykam tam swoje sprawy, wrócę tu, gdzie wszystko się zaczęło, i spróbuję odnaleźć bliskich. Dom seniora wydał mi się najlepszym miejscem na szukanie. Ale minęły trzy lata. Rozmawiałam z każdym pensjonariuszem, pytałam we wsi, przeszłam każdą ścieżkę cmentarza i nic nie znalazłam. Znowu wziąłem głęboki oddech. Na zewnątrz robiło się szaro. Musiałem się spieszyć. Proszę ze mną teraz pojechać. Po drodze pani opowiem, czego się dowiedziałem.*

W ciągu ostatnich kilkunastu dni opowiadałem tę historię już po raz trzeci. Że kupiłem tu dom, że postanowiłem wymienić podłogę w kuchni. Że znalazłem piwnicę pod podłogą i szarą teczkę. Potwierdziłem, że urodziła się w Rajgrodzie, w piwnicy mojego domu. Opowiedziałem jej o matce, która zmarła przy porodzie i o tym, że dała jej na imię Chasia. O tym, jak szukałem i znajdowałem, bo jako jedyny wiedziałem, czego szukać. O zapiskach wikarego i o grobie matki pochowanej pod cudzym nazwiskiem. Nie powiedziałem tylko, że jest starszą siostrą i że dziwnym trafem jej młodsza siostra szykuje się właśnie do odjazdu. Chasia – to imię idealnie do niej pasowało. Była ciepła, rozpromieniona, pogodzona ze sobą. Nie mogłem się temu nadziwić. Przyjechaliśmy do domu. Czuję, że serce za chwilę wyskoczy mi z piersi. Tych z Augustowa jeszcze nie było. No i dobrze. *Proszę chwilę tu zaczekać*, poprosiłem Chasię, a ona usłuchała. Wszedłem na taras, przebiegłem przez wszystkie pokoje, Elizabeth nigdzie nie było. Przeczytała teczkę i co? Wróciłem do dziennego, teczka leżała obok bagażu nieruszona. A więc nie przeczytała. Kuchnia. Właz był zamknięty. Chyba że

weszła tam i zamknęła się od środka. Zdenerwowałem się. Wyszedłem na taras i wtedy je zobaczyłem. Esterka stała na pomoście, z twarzą zwróconą do wody. Nie widziała nas. Ale Chasia już ją zobaczyła, już wiedziała, dokąd iść, żeby odzyskać poczucie pełni. Szła w stronę pomostu, nie oglądając się za siebie. Była kilka metrów od celu, kiedy Esterka, prawdopodobnie na dźwięk kroków, odwróciła się i zobaczyła swoją siostrę. Wyglądały identycznie, nadal nie mogłem w to uwierzyć. Esterka zeszła z pomostu i stanęła na wprost siostry. Stały bez ruchu kilka sekund, a dla mnie to była wieczność. Potem objęły się i trwały w uścisku kilka minut.

Chyba nie muszę mówić, co było dalej. Z ich opowieści wiem, że Chasia powiedziała na powitanie: *zawsze to czułam*, a Esterka: *zawsze mi czegoś brakowało*. Nie będę się rozwodził nad dylematem, czy lepiej jest wiedzieć, czy nie. Pomyślę nad tym, jak Scarlett O'Hara, jutro. To chyba jasne, że kiedy wróciły na taras, przeczytały razem zawartość teczki. Potem Esterka pokazała Chasi włącz, a wieczorem, nie bacząc na milion komarów, zabrała siostrę na cmentarz. Nazajutrz Esterka nigdzie nie pojechała. Rodzina ruszyła na objazd naszej wspaniałej ojczyzny bez bliźniaczki. Mieli przyjechać po nią tuż przed odlotem do USA. Od tego dnia miałem gości z głowy. Esterka przeniosła się tymczasowo do pensjonatu Chasi i podobno spędzały ze sobą każdą wolną chwilę. Rozumiały się bez słów. Zostałem sam z moim druhem. Znowu było jak dawniej. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Tydzień później przyjechały mnie odwiedzić. Dopiero wtedy usłyszałem, jak bardzo są mi wdzięczne. Cóż, w kategorii mistrzów refleksu spadłem na drugie miejsce. Wiedziałem, że będąc spinaczem tej historii, jednocześnie stałem się jej częścią. Miałem nową rodzinę i byłem z tego dumny. Już później, kiedy wieczory znowu zrobiły się długie i zimne, miałem dużo czasu, żeby przemyśleć wszystkie nurtujące mnie kwestie. Sąsiadka zza płotu wyjechała, zostawiając mi klucze. Miałem chęć zajrzeć pod jej linoleum w kuchni, ale się powstrzymałem. Został on, najlepszy na świecie Kundel. Przegadaliśmy wszystkie kwestie wiele razy i na różne sposoby. Najważniejsza dotyczyła

tego, czy ja, będąc na ich miejscu, chciałbym wiedzieć. Każdy jest inny, różni się wrażliwością i doświadczeniami. Ale na tym konkretnym przykładzie wychodziło mi, że lepiej wiedzieć. Czego się szuka, na czym się stoi, skąd się pochodzi. I czy ma się raka, czy nie. Odszukałem telefon do lekarza, zadzwoniłem do niego. A więc wreszcie wiedziałem. To wcale nie było takie straszne, jak myślałem. Pozostaje jedna najważniejsza zasada: jeśli przechodzisz przez piekło, nie daj się zatrzymać, idź dalej. To w końcu tylko droga, nawet jeśli pierwsza i równocześnie ostatnia.


Copyright for the Polish Edition © 2018 Edipresse Polska SA Copyright for text © 2018 Agnieszka Szygenda Edipresse Polska SA

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska Redaktor inicjujący: Natalia Gowin
Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51), Barbara Tekiel (tel. 22 584 25 73), Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43) Redakcja: Agnieszka Jeż Korekta: Cała Jaskrawość, Pracownia12A Julita Cisowska Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Majewski Zdjęcie na okładce: andreiuc88/Shutterstock Skład i łamanie: JS Studio

 **BZK GROUP** Edipresse Książki dziękuje firmie BZK Group Sp z o.o. za wsparcie okazane książce „Odnaleziony po latach”.

Biuro Obsługi Klienta www.hitsalonik.pl

mail: bok@edipresse.pl

tel.: 22 584 22 22

(pon.–pt. w godz. 8:00–17:00) www.facebook.com/edipresseksiazki

www.instagram.com/edipresseksiazki

ISBN 978-83-8117-394-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłączeniem zezwoleniem właściciela praw autorskich.